

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 9. Warszawa, dnia 19 Lutego (2 Marca) 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie. . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie. . . . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . . . rs. 2 k. —
miesięcznie. . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, Św.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

TĘŻYZNA.

Jeść sowicie, pić nad miarę,
Lubić wino, wódkę starę,
Przed obiadem szlafrokować,
Po obiedzie popróżnować.
Mieć stół dobry, dom otwarty,
Po dniach całych grywać w karty,
Psy wszelkiego mieć gatunku,
Bez żadnego żyć rachunku.
Sercem kochać arendarza,
Mądrość czerpać z kalendarza,
Z fajeczką siedzieć na ganku,
Pleść trzy po trzy bez ustanku.
Mieć sługusów całą hordę
Palantować wszystkich w mordę;
Jejmościulku mówić żonie,
Handlować ciągle na konie.
Córki od skrofuł kurować,
Synów na osłów kierować,
Mieć przysłowie Mosterdzieju,
Pościć szczerze na oleju.
Dysputować z zajadłością,
Przeciwnikom stanąć kością,
Wszczynać proces po procesie,
Bić zwierzynę w cudzym lesie.
Obiecywać wszystko grzecznie,
Dotrzymywać — nie koniecznie...
Puszczać z fajki dymu kłęby,
Koniskom podrabiać zęby.
Chodzić z wyżłem na bekasy,
Chwalić dawne dobre czasy,
Jak to się brało na klocku
U jezuitów w Płocku.
W ręku żydów wszystkie szynki,
W najgorszym stanie budynki,
Gospodarstwo trzypolowe
I długie buty juchtowe.
Dojadać szumnie ostatków,
Nie lubić płacić podatków,
Na czasy wiecznie narzekać,
I manifestów wciąż czekać...
Pod pantoflem być u żony
I mieć folwark zadłużony;
Ciąć na towar dąb i sosnę,
Czekać wciąż czegoś na wiosnę...
Płakać na brak robotnika
I codzień zjadać indyka.
Mieć szacunek dla szkatuły
A za baj bardzo tytuły.
Trzymać się klamki magnatów
Wrzeszczeć na artystokratów.
Ekonoma mieć ciemiężę
Łgać o wszystkiem na potęgę...
Bóle krzyża mieć koniecznie
I hemoroidy wiecznie,
Całą młodość przepróżnować
A na starość baraszkować.
Niekiedy dostać waryacyi,
Umrzeć w manii *spekulacyi*,
Liczyć procent od prowizyi
I skończyć na exdywizyi.
Umierając żegnać sługi,
Nie zostawić tylko długi,
Mieć sąsiedztwo na pogrzebie
I być po tem wszystkiem w niebie.

B.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(dalszy ciąg).

Okres permski.

W skutek nieustannego oziębiania się ziemi, stała jej skorupa porozpadała się w wielu miejscach. Z rozpadlin w ten sposób wytworzonych, wystąpiły na powierzchnię kuli ziemskiej, materye płynne i grzęzkie, pod jej powłoką dotąd pozostające, jako to: porfiry i syenity i wydźwigając się zwolna, wyformowały wzgórza w postaci olbrzymich naparstków.

Góry porfirowe i syenitowe, które w końcu epoki przechodniej, wystąpiły z wnętrza ziemi były rozpalonemi, a tem samem nie mogła na nich się krzewić żadna roślinność. Piętrzyły się zatem bezpłodne i nagie na ziemi, przyodzianej gdzieindziej bogatą florą z epoki węglowej pochodzącą [1]).

Na ostatnim planie obrazu przedstawiającego ziemię w okresie permskim, widzimy te wzgórza porfirowe i syenitowe, dopiero co wydźwignięte z łona naszej planety. Z głębi morza wyrzuca się w postaci wichrzącej trąby, massa pary wodnej, wytworzonej z ciepła wydzielonego przez rozpalone porfiry i syenity. Dosięgnąwszy pewnej wysokości, ta para wodna zgęszcza się i spada w deszczu ulewnym. Ponieważ parowaniu wielkich mass wody, towarzyszy koniecznie potężne wywiązywanie się elektryczności, wypływa stąd, że w pośród olśniewających błyskawic i gromu piorunów, wytwarzały się wspaniałe zjawiska świata pierwotnego.

W ciągu okresu permskiego, gatunki roślinne i zwierzęce były prawie też same, jakie istniały w okresie węglowym. Brongniart wykrył okazy flory permskiej, będące pośredniemi ogniwami pomiędzy roślinnością utworu węglowego, a właściwą formacyi tryasowej, to jest następującej po permskiej.

[1]) Należy wszakże tu zaznaczyć, że już przed okresem węglowym przejawiły się porfiry, gdyż ich ślady znachodzimy w zlepieńcach (konglomeratach), dolnego utworu węglowego.

Z roślin cechujących głównie okres permski, wymieniamy, z paproci: *Sphenopteris dichotoma. Pecopteris Martinsii* i *Neuropteris tennifolia*—ze skrzypów: *Calamites gigas*—z widłaków: *Lepidodendron elongatum*—wreszcie z asterofilitów: *Annularia floribunda*, z drzew szyszkowych: *Walchia Schlotheimii* i *hypnoides*, które to ostatnie gatunki wielce przypominają trzonem, liśćmi i owocem dzisiejsze araukarye [1]).

W tymże czasie rozrastały się dwa kolosalnej wielkości drzewa, a mianowicie: *noegeracya* środkująca między sagowcami a drzewami szyszkowemi, i *psaronius*.

W morzach permskich oprócz nielicznych zwierząt właściwych okresowi węglowemu, żył płaz *Protosaurus*, ustrojem podobny dzisiejszym krokodylom. Obok tego potworu morskiego, przejawiały, się liczne gatunki ryb kostołuskich i chrząstkowatych, jako to: *Palaeoniscus* i *Platysomus* przedstawiony poniżej w fig. 14, oraz mnóstwo mięczaków z rzędu ramionowców, z których najwięcej charakterystycznemi były gatunki: *Spirifer undulatus, Productus horridus* którego drzeworyt zamieszczamy fig. 15 i *aculeatus*. Pobliskim temu ostatniemu rodzajowi, był mięczak *strophalosia*, na całej powierzchni ciała uzbrojony długiemi kolcami. Gatunek *strophalosia Schlotheimii*, napotykamy często w warstwach permskich Turyngii, Anglii i Rossyi. Zaznaczyć też winniśmy, że w tymże okresie przejawiły się ostrygi, jakkolwiek bardzo nieliczne.

Fenestrella reprezentuje nam polipy meszkowate, wreszcie niektóre zwierzokrzewy wystąpiły po raz pierwszy wówczas na widownię życia.

Widok ziemi w okresie permskim przedstawia nam drzeworyt niżej zamieszczony. W głębi obrazu, widzimy góry porfirowe i syenitowe tylko co wydźwignięte, i że tak powiemy jeszcze dymiące. Z lewej strony wybuchają gazy i para wodna. Na pobrzeżu z prawej strony, piętrzą się wyniosłe drzewa właściwe temu okresowi, to jest: lepidodendrony, kalamity i Walchia, podobna do dzisiejszej araukaryi olbrzymiej (araucaria gigantea) a obok krzewią się paprocie drzewiaste. Na brzegu morskim w skutek odpływu wody, widać mięczaki i zwierzokrzewy, właściwe temu okresowi, jako to: *Productus, Spirifer* i *enkryny*. Prześliczne asterofility, o których mówiliśmy w okresie węglowym, występują tu z wody w niewielkiej odległości od brzegu. (fig 16).

Wypada nam z kolei skreślić fizyognomikę warstw permskich—oznaczyć ich skład mineralogiczny, i w ogóle pokłady wytworzone w tym czasie z osadów morskich.

Formacyę permską dzielimy na trzy piętra, a to postępując od pokładów jej dolnych ku wierzchnim. Pierwsze piętro składa *zlepieniec* (konglomerat) *czerwony*—drugie *dolomit szary* (zechstein)—a trzecie *piaskowiec wogezki. Zlepieniec czerwony* (Rothes Totliegendes), którego przeciętna grubość wynosi 350—700 stóp polskich, przejawia się na szerokim płacie Niemiec, w Anglii, Wogezach i t. p. i zawiera w sobie niewiele szczątków kopalnych, złożonych głównie ze skamieniałych trzonów drzew szyszkowych, oraz z wycisków kilku paproci i kalamitów.

Dolomit szary (zechstein), zwany też *kamieniem kopalnianym*, jest szarym wapieniem, przejętym nieco iłem, w wierzchnich warstwach przechodzącym w czysty dolomit. W Niemczech obejmuje on pokłady zasobne w żyły kruszcowe, których zaledwie ślady napotykamy we Francyi. Dolomit szary w Niemczech i Anglii, dosięga grubości 520 stóp pols. Wapienie go stanowiące zawierają w sobie magnezyę, glinę, żywice, i w tym ostatnim razie bywają czarniawe i cuchnące. W dolomicie tym napotykamy niemniej margle, gipsy, sól kuchenną i łupki bituminowe, palne, znajdujące się w wielkiej obfitości w Mansfeld w Turyngii w pośród rud miedzianych, ołowianych i srebrodajnych, na szeroką skalę eksploatowanych w tym kraju. Warstwy tych łupków miedzianych, zwanych w Turyngii *Kupferschiefer*, obejmują w sobie często liczne gatunki ryb kopalnych. W dolomicie szarym natrafiamy też na szczątki kopalne zwierząt i roślin, o których wyżej wspominaliśmy.

Piaskowiec wogezki pospolicie zafarbowany barwą czerwoną, którego grubość dochodzi 350 lub 520 stóp pols., składa całą północną część gór wogezkich, gdzie tworzy dość liczne szczyty płaskie, będące świadectwem istniejącego tu prastarego płaskowzgórza, rozburzonego przez prądy wodne. Bardzo rzadko napotykamy w warstwach tego piaskowca szczątki roślinne, zwierzęcych zaś nie zawiera w sobie on wcale. W Niemczech, Francyi i Anglii, utwór permski zaledwie gdzieniegdzie się przejawia, natomiast we wschodniej części Rossyi europejskiej zajmuje wielce rozległe przestrzenie, a mianowicie cały płat ziemi od Jarosławia do gór Uralskich, to jest: obejmuje gubernie: Wołogodzką, Kostromską, Jarosławską, Wiatską, Permską, Niżnonowogrodzką, Kazańską, Orenburską i Saratowską. Od gubernii permskiej, powstała nazwa tak formacyi jak i okresu geologicznego, którego charakterystykę tu kreślimy. Utwór permski znachodzimy w Polsce między wsią Zagdańskiem a Występną na północ Kielc, i pod Kajetanowem leżącym między Suchedniowem a Kielcami.

Warstwy utworu permskiego w Rossyi, składają się z wapieni, margli i piaskowców—zawierają w sobie szczątki paproci, oraz mięczaków z rodzaju *Productus*, a nawet płazy i ryby, podobne ustrojem tym, jakie napotykamy w dolomicie szarym Europy zachodniej. W tychże warstwach znachodzimy tam gips i występującą na powierzchni ziemi sól kamienną, z której przemysł korzysta.

Pozostaje nam oznaczyć rozległość jeograficzną mórz i lądów, istniejących w okresie permskim. Przestrzeń zajmowaną dziś przez góry wogezkie, zalewały wówczas morza, rozpościerające się od Bawaryi nadreńskiej i wielkiego księstwa Badeńskiego, aż do Saksonii i Szląska. Morza te łączyły się z oceanem, pokrywającym środkową Anglię i Rossyę.

W pozostałej części Europy, lądy niewiele znaczącym uległy zmianom od okresu sylurycznego, dewońskiego i węglowego. We Francyi, środkowe płaskowzgórze tworzyło wielką wyspę, rozpościerającą się ku południowi, prawdopodobnie aż po za Pireneje. Drugą wyspę stanowiły skały bretońskie. W Anglii i Rossyi lądy rozprzestrzeniły się znacznie ku wschodowi. Wreszcie jak się zdaje, w końcu okresu węglowego, ląd belgicko-wogezki zajmował departamenta Pas-de-Calais i Północny we Francyi, tudzież całą Belgię, rozciągając się daleko po za Renem.

* * *

Po skreśleniu charakterystyki *epoki przechodniej*, należy nam zbadać nową fazę w historyi naszej planety, to jest tak zwaną przez geologów *epokę drugorzędową*. Wszelako za nim do jej opisu przystąpimy, rzucimy okiem wstecz, by zebrać główniejsze fakty z jakiemi zapoznaliśmy czytelnika.

W epoce przechodniej, jak już powiedzieliśmy, przejawiły się pierwszy raz zwierzęta, na znacznie wystygłej powierzchni ziemi. Wówczas to w morzach objęły panowanie rozbójnicze ryby kostołuskie, dziwacznych kształtów, opatrzone silnym pancerzem lub łuskami pokrywającemi ich ciało. W epoce tej rodzą się i wymierają bezpowrotnie, ciekawe osobliwszego ustroju skorupiaki zwane *trylobitami*, o jakich mogą nam dawać pewne wyobrażenie dzisiejsze stonogi wodne. Dalej napotykamy niezliczone mnóstwo mięczaków, z rzędu głowopławów i ramionowców, a obok nich enkryny dziwotwornej organizacyi, przedstawiające się w postaci *kwiatów mineralnych* i będące dziś ozdobą zbiorów paleontologicznych.

Z pośród jednak wszech tych jestestw, wzmiankowane wyżej ryby kostołuskie, były niezaprzeczenie panami owoczesnego świata organicznego. Natura obdarzyła je potężnym pancerzem, zabezpieczającym te twory od niszczących wpływów, jakie zagrażały im w oceanie starożytnego świata. W epoce przechodniej życie przejawia się zaledwie w pierwocinach. Żaden zwierz ssący nie zakłóca swym głosem ciszy dolin i lasów—żaden ptak nie przerzyna jeszcze skrzydłem szlaków powietrznych. Brak zwierząt ssących, wieści nam zarazem brak uczucia macierzyńskiego, z którym łączy się pewien rozwój inteligencyi. Brak ptastwa, w przestworach powietrznych—to brak pieśni miłosnej i wesela w przyrodzie. Ryby, mięczaki i skorupiaki, włóczą się w milczeniu w głębiach morza. Zwierzokrzewy nieruchome przytwierdzone do skał, pędzą życie bezwiedne, pozbawione wrażeń.

Na lądach znajdujemy niewielkiego wzrostu w bagniskach żyjące płazy, które są poprzednikami potwórnych jaszczurów, mających wystąpić na widownię życia w epoce drugorzędowej.

Roślinność epoki przechodniej, składają rośliny niższego rzędu, jakkolwiek między niemi przejawiają się reprezentanty dwuliściennie, nierównie wyższego ustroju. Florę tę przeważnie tworzą rośliny skrytopłciowe, paprocie, widłaki i skrzypy, które naówczas dosięgły najwyższego stopnia rozwoju.

Klimaty w tej epoce nie istniały jeszcze—też same rośliny i zwierzęta żyły tak pod równikiem, jak i w okolicach biegunowych. Po-

---

1) Araukarye zwane też *sosnami Andskiemi* są wyniosłemi drzewami szyszkowemi, dającemi trwały materyał budowlany. *Araucaria brasiliensis* tworzy rozległe lasy w górach brazylijskich, *Araucaria imbricata* wzrasta w Chili, *A. cunninghami* na wschodnim brzegu Nowej Holandyi. (*Przyp. tłóm.*)

nieważ w warstwach należących do epoki przechodniej, na wyspie Melville i na Spicbergu, znajdujemy też same szczątki kopalne zwierząt i roślin, jakie napotykamy w tychże warstwach strefy gorącej, musimy przyjąć, że w tej epoce jednostajna temperatura panowała na całej kuli ziemskiej, oraz, że ciepło właściwe naówczas ziemi a pochodzące z jej łona, było w tym stopniu wysokie, że promienie słoneczne wywierały na ziemię wpływ niewiele znaczący.

W skutek postępowego oziębiania się naszej planety w epoce przechodniej, skorupa ziemska w wielu miejscach porozpadała się, i z wytworzonych w niej w ten sposób czeluści, wydźwignęły się skały tak zwane ogniowe, jako to: granit, a następnie porfiry i syenity. Te zwolna występując coraz więcej, wyformowały w końcu góry granitowe i porfirowe. Obok tego szczeliny ziemskie zapełniły się tlenkami i siarkami metalicznemi tworzącemi *żyły*.

Tego rodzaju zaburzenia geologiczne, wywołujące wstrząśnienia nie na całej powierzchni ziemi, lecz tylko w niektórych jej miejscowościach, najczęściej przejawiały się w końcu epoki przechodniej, a mianowicie w chwili stanowiącej przejście do epoki drugorzędowej. Innemi słowy przewroty te miały miejsce w czasie, środkującym między okresem permskim a tryasowym.

W końcu niniejszego dzieła, poświęcimy osobny rozdział skałom wybuchowym, aby z ich wytworem i naturą bliżej zapoznać czytelnika. Przewroty geologiczne, jak już wspomnieliśmy wyżej, nie zachodziły na całej powierzchni ziemi, lecz były umiejscowione. Pogląd też niektórych geologów, przyjmujących że owe kataklizmy wstrząsały całą skorupę ziemską i niszczyły wszędzie życie organiczne, nie ma żadnej podstawy.

Fauna i flora okresu permskiego, niewiele się różni od cechującej okres węglowy, co jasno okazuje, że żaden przewrot powszechny, nie zaburzał ziemi w cyklu czasu przedzielającym te dwa okresy. Nie mamy też żadnej potrzeby posługiwać się kataklizmami, dla wyjaśnienia przejść jednoczących jeden okres z drugim. Czyż nie widzimy za dni naszych, znikające gatunki zwierzęce, chociaż nie zachodzi najmniejszy przewrót geologiczny? Nie mówiąc już o bobrach, tak pospolitych przed dwustu latami na brzegach Rodanu i w Cewennach, oraz w takim mnóstwie rozradzających się w średnich wiekach w okolicach Paryża na brzegach rzeczułki Bièvre [1])—nie wspominając, powtarzamy, o bobrach dziś znikłych z tych okolic, możemy wymienić wiele zwierząt, które ustąpiły z powierzchni ziemi, w czasie nie wielce od nas odległym.

Do takich zwłaszcza należą *Dinornis* i *Epiornis*, kolosalne ptaki Nowej Zelandyi i Madagaskaru, w porównaniu z któremi struś byłby karłem, oraz Dronta (didus ineptus), jaka utrzymywała się jeszcze w 1626 roku, na Ile de France. Niedźwiedź jaskiniowy (Ursus spelaeus), jeleń olbrzymiorogi (Cervus megaceros), i wół pierwotny (Bos primigenius), pochodziły z typów niedźwiedzia, jelenia i wołu współczesnych człowiekowi, a dziś wcale znikłych. Nie znamy obecnie całkiem jelenia z kolosalnemi rogami, którego postać rzymianie przedstawiali w pomnikach, i sprowadzali z Anglii dla smacznego mięsa. *Dzik Erymantejski*, tyle rozpowszechniony w starożytności, dziś nie istnieje równie jak krokodyle i *Lacunosus laciniatus*, których kości znalazł Geoffroy Saint-Hilaire, w katakumbach starożytnego Egiptu. Wiele wizerunków zwierząt rzeźbionych i malowanych na mozajkach palestyńskich, nie przedstawia gatunków zwierzęcych obecnie istniejących. *Lwy z grzywą kędzierzawą*, niegdyś wielce pospolite w Syryi, a prawdopodobnie w Tessalii i w ogóle na północy Grecyi, również dziś znikły z powierzchni ziemi. Czyż ich zagładę mamy przypisywać katastrofom geologicznym? Czyż nie prościej przypuścić, że to znikanie gatunków, zachodziło w skutek zmiany warunków życiowych, które nie pozwoliły im dłużej utrzymywać bytu? Z teraźniejszości możemy wnosić o przeszłości, wypada nam zatem sprowadzić do nierównie skromniejszej roli, działanie kataklizmów, na jakie dawniejsi geologowie powoływali się do zbytku bez żadnej podstawy.

d. c. n.

[1]) Pisarze średnich wieków nazywali bobra *Bièvre*, nazwa zatem *rzeczki Bièvre*, w tej epoce oznacza *rzeczkę bobrów*.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

XXV.

Z POSIEDZEŃ U LEKARZA.

6. Otyłość.

z Prof. i D-ra Bock'a, podał St. W. Łukowski.

Przedewszystkiem, pozwolimy sobie wypowiedzieć tutaj kilka uwag, z powodu owej niedelikatności, jaką odznacza się w stosunkach ze swym lekarzem wielu chorych, należących do tak zwanej oświeconej klassy społeczeństwa.

Naprożno lekarz wywiesza na wchodowych drzwiach swego mieszkania znak objaśniający, że „przyjmuje od tej mianowicie do tej godziny;“ zawsze, mimo to, znajdą się pacyenci (zwłaszcza pomiędzy lubiącymi imponować swym workiem), którzy wymagają, ażeby lekarz, bez względu na pomienione godziny, oraz na uszczerbek w swym odpoczynku i zajęciach naukowych, uważnie słuchał ich utyskiwań z tytułu jakiejkolwiek lekkiej słabości. Tymczasem, nicby zapewne nie szkodziło owym ichmościom tak się urządzić, aby zastać lekarza w godzinach, wyznaczonych przezeń na przyjęcie chorych. I na czem zresztą opierają się podobne wymagania? Na przekonaniu, że lekarz jest poprostu niczem innem, jak parobkiem, obowiązanym za pieniądze służyć najszanowniejszej publiczności w każdym czasie... Z tego zapatrywania wynika również, nierzadko zdarzający się, dziwny sposób wynagradzania lekarza za usługi, sposób w najwyższym stopniu obraźliwy dla ostatniego; i tak: jeden szuka we wszystkich swych kieszeniach portmonetki, a znalazłszy ją, nie żenując się bynajmniej, wylicza lekarzowi zapłatę drobnemi, po sztuce miedzi, wprost do ręki; drugi żąda z pięciorublowego biletu, cztery i pół rubla reszty; trzeci ukradkiem i z pewnem uczuciem wsuwa lekarzowi rubla, niby jakiej dobrej słudze, któraby mu poświeciła na schodach. Nawet poczytujący się za dobrze wychowanych pacyenci, praktykują ten sposób wsuwania pieniędzy do ręki, zamiast, żeby unikając wszelkiej uderzającej w oczy procedury, kłaść je na stół, jeśli to możebne w kopercie, lub później odsyłać.

Wiele możnaby także powiedzieć o nieludzkości podobnych chorych, względem swych bliźnich. Nierzadko zdarza się, że pacyent, należący do uprzywilejowanych klass społeczeństwa, przyszedłszy daleko później do mieszkania lekarza, aniżeli inni niższego stanu chorzy, domaga się, aby go natychmiast, nie zaś według kolei przyjęto; nie dość na tem, wiele osób zatrzymując lekarza zbyt długo swą nudną paplaniną, zapomina zupełnie, że inni chorzy czekają w przedpokoju również na jego poradę.

Niektórzy znów pacyenci słuchają rad lekarza i obiecują je wykonać z taką miną, jak gdyby przez to wyświadczali lekarzowi szczególną łaskę, za którą ten ostatni powinien chyba być im jeszcze wdzięcznym!... Lecz jakiż żal czuje lekarz w skrytości swego serca do tych pacyentów, którzy, skutkiem długoletnich szaleństw, nabawiwszy się trudno uleczalnej choroby, lub też popadłszy, choć niezbyt dawno, ale za to w ciężką niemoc, czynią lekarzowi wyrzuty, z powodu że wyzdrowienie ich zwolna tylko postępuje! Podobnych wybryków dopuszczają się szczególniej osoby zamożne, jak: bankierzy, przemysłowcy, spekulanci i t. p.; ażeby zaś swe pozbawione rozsądku i słuszności postępowanie, uczynić jakby umyślnie jeszcze bardziej dotkliwem dla lekarza, wskazują mu jakiegoś ze swych przyjaciół, który cierpiał niby na tęż samą chorobę i został z niej wyleczony daleko prędzej przez innego lekarza. Według zdania owych osób, powrócić komu zdrowie jest rzeczą również łatwą, jak naprawić but podarty!...

Słowem, obchodzenie się pacyentów z lekarzami, może służyć za najpewniejszą skalę ich oświaty, i ja radziłbym ci to zapamiętać szanowny czytelniku.

— Czy koniecznie powinienem udać się do Karlsbadu?

Z tem zapytaniem, otyły mój przyjaciel, mocno sapiąc, rzucił się na sofę, tak, że aż wszystko pod nim zatrzeszczało.

— Konieczności w tem żadnej nie ma. Tylko..

— No, bardzo mi to przyjemnie usłyszeć, gdyż nie chciałbym wcale rozstawać się z rodziną i porzucać swych interesów...

— Lecz przytem, ma się rozumieć, musisz, pozostając w domu, ściśle wykonać przepisy, zmierzające do pozbawienia cię nadmiernego tłuszczu. A czynić to nie zbyt chętnie lubią twoi bracia-tłuściochy. Interesa służą im zazwyczaj tylko za pozór uwolnienia się od wyjazdu do wód; w rzeczywistości zaś, zatrzymuje ich w domu zamiłowanie wygód i niechęć rozstania się z dawnemi nawyknieniami.

— Właśnie i żona moja mówi toż samo...

— Skoro tak, to radzę ci natychmiast jechać do wód. W przeciwnym razie, jeśli nie udasz się według mej rady do Karlsbadu, cze-

ka nas tylko bieda z tobą, bo gdy na zimę zacznie ci dokuczać twoja dawna niemoc, wówczas krewni będą ci bezustannie piszczeć nad uszami: „otóż masz, dobrze ci tak, dla czego nie odjechałeś do Karlsbadu, teraz za to pokutujesz“ i t. d. I mnie bez wątpienia przypiszą winę za to, że nie wykonywałeś ściśle moich rad lekarskich.

— Ależ nie! pod tym względem nie znasz dobrze mej żony. Każde twe słowo jest dla niej ewangelią.

— W takim razie, zechciej mnie posłuchać uważnie, bo to twoi bracia, na wpół chorzy, słuchają zazwyczaj tylko jednem uchem. Przyczyna wszystkich dolegliwości, na które narzekają osoby otyłe, a zwłaszcza takie, które nabrały tuszy nagle, w ciągu lat kilku, tkwi w nienaturalnem odkładaniu się tłuszczu wewnątrz ciała, szczególniej zaś w narzędziach tyle ważnych dla życia, jak: serce, wątroba, ścianki naczyń krwionośnych i t. d. Zadanie więc każdego cierpiącego na otyłość polegać powinno na tem, ażeby nietylko powstrzymać odkładanie się nowych mass tłuszczowych, lecz zarazem i zmniejszyć ilość znajdującego się już tłuszczu. Dla zapobieżenia odkładaniu się nowych mass tłuszczowych (za pośrednictwem wydzielania ze krwi), w nadmiernej ilości, należy zachowywać od-

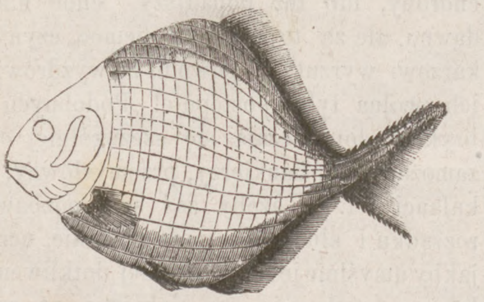


Fig. 14. Platysomus (str. 134).

powiednią dyetę, mianowicie: jeść taki pokarm, który zawiera w sobie mało tłuszczu, a unikać natomiast obfitującego w tłuszcz i materye tłuszczorodne (jakiemi są: cukier, potrawy mączne, napoje wyskokowe i in.), poprzestając głównie na lekkiem mięsnem pożywieniu i napojach wodnistych. Samo z siebie wynika, że nie trzeba być aż tyle ostrożnym, żeby wstrzymać się całkiem od użycia wszelkich mącznych, tłustych i słodkich potraw; nie zaszkodzi również wypić od czasu do czasu szklankę wina lub piwa; lecz we wszystkiem tem wypada zachowywać wielkie umiarkowanie.

Nic bardziej nie pomaga do usunięcia zbytecznego tłuszczu, jak dobry ruch i oddychanie świeżem, wolnem, wystawionem na działanie promieni słonecznych, leśnem powietrzem; środki te bowiem przyśpieszają krwiobieg i spalenie tłuszczu w strumieniu krwi. Trzeba również rozstać się z leżeniem na boku, późnem wstawaniem i w ogóle ze zniewieściałym sposobem życia, miejsce którego powinny zająć ranne wstawanie oraz takie ćwiczenia, jak: przechadzki, ruch w domu lub na otwartem powietrzu, gra w kręgle, piłowanie drzewa, fechtowanie. Należy wprawić się w mocne wdychanie i wydychanie, oraz powtarzać je często, unikając przy tem wązkiej odzieży.

Wyborny środek pomocniczy przy leczeniu otyłości stanowi woda, którą też trzeba pić w większej, aniżeli zazwyczaj ilości i to najlepiej gorącą (t. j. ogrzaną do temperatury nie wywołującej oparzenia), gdyż w tej postaci znośniejszą jest dla słabego żołądka. Osoby ze zdrowym żołądkiem, mogą pić i zimną, kryniczną wodę. Ci, co obok otyłości, cierpią na zatkanie stolca, dobrze uczynią, jeśli będą pić wody mineralne lekko rozwalniające, jak np. karlsbadzkie; w razie jednak, gdy upośledzają one apetyt, należy przerwać użycie takowych. Kto pragnie zresztą przyprowadzić do porządkn swój stolec, niech codzień naczczo, przed użyciem kawy, napije się szklankę czystej wody, niezbyt zimnej, a następnie niech się przejdzie po świeżem powietrzu, i przy tem wolno lecz mocno wdycha i wydycha, a w niedługim przeciągu czasu przekona się, jak zbawienną jest ta rada.

Każdy człowiek, pragnący pozbawić się nadmiernego tłuszczu, powinien i przy wodach karlsbadzkich zachowywać ściśle podane wyżej przepisy. Musi on także unikać według możności pokarmów zawierających tłuszcz i materye tłuszczorodne, oraz mocno oddychać na świeżem powietrzu. Naturalnie, że i po skończonej kuracyi, należy, dla uniknienia powrotu choroby, zachowywać przez czas dłuższy też samą dyetę, choć nie w tak ścisłym stopniu.

Mój przyjaciel, o którym wyżej mowa, udał się do Karlsbadu, jako tłuścioch, a powrócił w tymże roku do swej rodziny, oswobodzony już zupełnie z nadmiernej tuszy.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Zurych 8 lutego 1876 r.

(dokończenie).

Bardzo jest ciekawą w tym rodzaju praca jednego fabrykanta szwajcarskiego Brunnera, który w dziełku swojem: „Die Licht-und Schattenseiten der Industrie...“ tak mówi w kwestyi bytu fabrycznego: „Przemysł fabryczny: 1) niszczy zasady rodzinne, a tem samem i wszelkie inne, 2) wydaje pokolenie za pokoleniem młodych ludzi, coraz niżej stojących fizycznie i moralnie, inaczej mówiąc daje wyrodków, 3) znosi stan średni i dąży do wyraźnego podziału społeczeństwa na bogatych i bardzo biednych, 4) podrywa wszelkie zasady społeczne, 5) budzi nienawiść pomiędzy różnemi stany. Wszystko to zaś wypływa nie ze złej woli jednostek, tylko bardziej z samej natury rzeczy.“ Być może iż pogląd p. Brunnera jest zbyt smutnym, da się on jednak wytłómaczyć przy bliższej znajomości przedmiotu.

Ze swojej strony gospodarze oskarżają wyrobników o bezzasadną niechęć i nieprzyjaźń ku nim, o łatwość z jaką dają wiarę wszelkim gadkom prassy.

W jakiej też działalności faktycznej wypowiadają się te zawikłane stosunki? Najlepiej zajrzeć do prawodawstwa: 7-my art. konstytucyi zurychskiej (ostatnia redakcya z 20 sierp. 1865) głosi: „Handel i wszelkie rzemiosła są wolne. Prawo zaznacza tylko te granice, jakich ogólne dobro wymaga“ Od 1815 roku aż do naszych czasów, prawodawstwo zakreślało granice wyłącznie dla pracy dziecinnej. Tak prawo 1815 roku, zabrania przyjmować do pracy dzieci mniej jak 10 lat mające, zabrania obciążać pracą, dziecie podlegające obowiązkowemu uczeniu się, ogranicza czas pracy dziecinnej od 12—14 godzin dziennie, wzbraniając pracy nocnej. Wykonanie tych prawideł oddaje pod nadzór urzędników gminnych i nauczycieli szkolnych. Po kilku przemianach i dodatkach, dokonanych przez prawa 2 września 1837 roku, 17 lutego 1855, prawodawstwo w kwestyi pracy dziecinnej, obowiązujące obecnie na mocy prawa 24 paźdz. 1859 i ustawy wykonawczej 25 lutego 1860 nakazuje: żeby żadne dziecko nie było przyjmowane do pracy, póki nie skończyło kursu szkoły początkowej, t. j. dziecko mniej jak 12 lat mające (jest parę wyjątków), żeby dziecko do lat 16-tu nie było przyjmowane do pracy, jeżeli rodzaj tej pracy może szkodzić jego zdrowiu i rozwojowi sił, żeby czas dzienny roboczy dla dzieci do 16-tu lat, nie był większy nad 13 godzin, a w sobotę nie więcej nad 12 godzin, żeby czas nocny od 9-tej wieczór do 5-tej rano, również święta były bezwarunkowo wolne od pracy dla dzieci, żeby każdy fabrykant miał pieczę co do regularnego uczęszczania pracujących

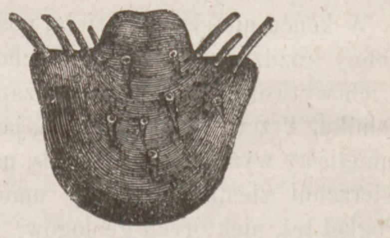


Fig. 15. Productus horridus. (str. 134).

u niego dzieci na kazania — nauki kościelne i niektóre publiczne.

To prawo już ma w sobie parę artykułów dotyczących dorosłych robotników, mianowicie obowiązuje fabrykantów używać wszelkich środków ostrożności dla zabezpieczenia życia i zdrowia pracujących i stanowi stałe inspekcye dla zwiedzania fabryk. Niedawno był projekt uzupełnienia tego prawo dwoma nowymi artykułami, z którychby jeden redukował czas dnia roboczego do 12 godzin, dawał 1 godzinę wolną na obiad, wzbraniał od pracy w noce i święta, drugi zaś ustanawia wypłatę zarobku przez fabrykantów najpóźniej co każde 14 dni. Podobno ten projekt został przyjęty. Jeżeli dodamy do tego prace inspekcyj nadzorczych, których działalność zawisła zresztą głównie od wpływów składających ich osobistości, to prawodawstwo fabryczne w Zurychu na tem się kończy. Pomniejsze szczegóły musiałem pominąć.

Dziwnem się może wydać, lecz tak jest, że w kwestyi pracy dziecinnej, prawo musi bronić dzieci od ich własnych rodziców. Pogoń za zyskiem dzisiaj, nędza, brak uczuć łagodniejszych, pogrzebionych pod wiekiem ciężkiej pracy i nakoniec nieświadomość praw ekonomicznych, nieświadomość prawa redukującego prędzej czy później płacę rodziny do normy niezbędnie potrzebnej na jej utrzymanie, wszy-

stko to zmusza rodziców widzieć w tem swoje nieszczęście, gdy prawo wzbrania im używać dzieci przedwcześnie do pracy.

Oprócz prawodawstwa, nad lepszem rozwiązaniem zadania pracy fabrycznej trudzą się różne towarzystwa, często zjednoczeni delegaci różnych kantonów. Tak w listopadzie 1872 roku, pomiędzy niemieckiemi kantonami Zürich, Bern, Schwyz, Glarus, Schaffhausen, St.-Gallen, Soloturn i Aargau zawartą została umowa, (Concordats-Fabrikgesetz), ażeby zredukować prawnie dzienny czas roboczy w fabrykach, a przynajmniej w wodnych i parowych przędzalniach i tkalniach do 11 godzin. Zaś tam gdzie prawnie oznaczonej liczby godzin roboczych dla mężczyzn nie ma, miałoby te prawo służyć dla kobiet i młodzieży obu płci do 16 lat.

Ze strony fabrykantów dobrowolnie lub nie, mniejsza o to, zrobiono wiele. Płace dzienne znacznie zostały zwiększone ostatniemi czasy, jak to niżej zaznaczę, dzień roboczy zredukowany został u niektórych fabrykantów do 10 godzin, tak że przeciętnie w różnych gałęziach przemysłu tutejszego, można obliczyć czas dnia roboczego na 11 godzin. Przy większych fabrykach są lokale urządzone specyalnie dla wyrobników fabryki, za tańszą cenę z kawałkiem ogrodu; np. dom H. Kunza, mający najwięcej i największych przędzalni w całej Szwajcaryi, ma w zurychskim kantonie 125 mieszkań roboczych; średnia płaca za jedno mieszkanie z 2 pokoików 60, z 3—85 fr.; do mieszkania dodaje się przytem kawałek ogrodu; dom Escher, Wyss et C°, ma w Zurychu pięćdziesiąt kilka mieszkań roboczych, zbudowanych według różnych systemów, opracowanych dla mieszkań roboczych, z płacą za mieszkanie familijne od 200—280 franków rocznie [1]); przytem ci panowie Escher, Wyss et C°, ułatwiają robotnikom kupno zbudowanych przez nich domków z ogródkami za cenę 5200—5600 franków, z wypłatą jednorazową 500 franków i następnie 35 franków miesięcznie; wielu też innych fabrykantów stara się o zbudowanie najdogodniejszych pomieszkań dla swoich robotników za mniej więcej przystępną cenę i same pracownie, na ile rodzaj pracy pozwala, zostały znacznie wyrestaurowane; dalej, otwarto wiele nowych kass oszczędności, których wkładki są czasem przez dobrowolne datki fabrykantów powiększane; przy udziale fabrykantów urządzone zostały kassy pomocy dla chorych i kalek, udział w jakich, jest w wielu fabrykach obowiązkowym dla wszystkich pracowników; kilku fabrykantów ulokowywa swoim kosztem kaleki i starców w szpitalach, towarzystwo dróg żelaznych szwajcarskich północno-zachodnich wprowadziło w zwyczaj obowiązkową assekuracyę pracujących po warsztatach; można też zanotować jako dobrą stronę niektórych z tutejszych fabrykantów, że podczas stagnacyj handlowych jakie miały miejsce ostatniemi laty, nie zamykali oni swoich pracowni z narażeniem nawet funduszów swoich. Przy niektórych większych fabrykach, szczególnie przędzalniach i tkalniach są przytułki dla sierot i małoletnich kalek, gdzie obok pracy dają tym biedakom wychowanie początkowe; w wielu miejscach można napotkać szkółki dla małych dzieci, gdzie spędzają one cały dzień, dopóki ich rodzice nie powrócą z fabryk. Szkółki te (w Zurychu jest ich trzy) chociaż nie kosztem fabrykantów otwarte, są jednak przez nich popierane; znajdzie się też często przy fabrykach tania kuchnia, albo piec dla utrzymania w cieple przyniesionej robotnikom strawy. W Zurychu oprócz wielkiej taniej kuchni, założonej jeszcze w 1854 roku przez towarzystwo pomocy i wyprzedającej obecnie do 110 tysięcy porcyj zupy rocznie, jest jeszcze tania kuchnia przy fabryce Escher, Wyss et C°, wyprzedająca przez 7 miesięcy zimowych do 30 tysięcy porcyj zupy, po 8 cts. (około 5 groszy) porcya z kawałkiem mięsa, około $^1/_{12}$ funta. Do tej kuchni spółka Wyss dokłada rocznie z górą 2000 franków; przy warsztatach kolei żelaznej jest też taka tania kuchnia czyli zakład zupowy (Suppenanstalt) i oprócz tego niektórzy z fabrykantów trzymają krowy, mleko zaś robotnikom sprzedają po cenie zniżonej, inni zakupują en gros wszelkie wiktuały i sprzedają robotnikom en detail za swoją a czasami i trochę zniżoną cenę; wielu innych naznacza premie i gratyfikacye dla pilnych robotników, również inni przyjmują robotników do udziału w pewnym procencie ich „czystego zysku, chcąc połączyć w taki sposób dwa systematy wypłaty zarobku.

W sferze też klasy roboczej zurychskiej samopomoc znalazła znaczny rozwój. W wielu miejscach otwarte zostały towarzystwa spożywcze (Consumvereinen). Pod tym względem Szwajcarya wyprzedziła znacznie inne kraje, bo najstarsze i największe z takich towarzystw, cieszące się najzupełniejszem uznaniem w sferze klasy roboczej, otwarte zostało jeszcze w 1851 roku, przez wypuszczenie trzech frankowych akcyj i nie ma jednego miasteczka w kantonie, gdzieby nie było towarzystwa spożywczego. O działalności zurychskiego Consumvereinu można sądzić z tego, że w 1872 roku sprzedało ono w Zurychu 114,261 kilos. mąki, 305,000 kilos. kartofli, 136,406 cukru, 53,904 kawy, 35,518 cykoryi, 66,819 masła — 35,677 sera, 227,762 mięsa amerykańskiego, 58,792 mydła, 860 tysięcy cygar i ogromną ilość wszelkich innych wiktuałów; ma ono obecnie do 200,000 franków w zapasie, oprócz kapitału akcyjnego, ma bibliotekę, czytelnię, garkuchnie, szynkownie etc.



Fig. 16. Widok ziemi w okresie Permskim. (str. 134).

Nieżonaci robotnicy mają wspólne obiady w utworzonych przez nich towarzystwach, albo przyjmują udział w tanich kuchniach fabrycznych.

Przy wielu fabrykach otwarte zostały kasy dla chorych, bądź staraniem robotników, bądź fabrykantów, kasy pomocy wdowom i sierotom po zmarłych członkach, kasy dla starych, towarzystwa wzajemnej pomocy i t. p. Towarzystwo zapomogi robotnikom, zawiązane w 1866 roku, daje członkom po skończeniu 60 lat, chociażby zdrowym i zdolnym do pracy —80 franków rocznie, niezdolnym do pracy—100 franków, słabym i niezdolnym—150 franków i t. d. Przy fabryce Escher,

[1]) Frank=100 centymom, mniej więcej tyle co 30 kop.

Wyss et Comp. otwartą została jeszcze w 1835 roku kasa pomocy przez samych robotników. Zarząd kasy składa się też z robotników, chociaż kasa otrzymuje znaczną zapomogę od fabrykanta. Kassa ta ma na celu zabezpieczenie członków jej w razie choroby, starości, kalectwa, przedłużonej służby wojskowej, śmierci i innych wypadków nadzwyczajnych. Składa się ona z trzech działów, z których dwa pierwsze mają na celu chorobę, ostatni zaś inne przypadki. Udział w nich jest dla wszystkich robotników fabryki, z wyjątkiem dozorców, obowiązkowym. Płaca wstępna od 50 cts. do 1 fr. 80 cts., według działu, podatek miesięczny ustanawia się przez zarząd, kapitał zapasowy nie powinien być nigdy nad 600 franków mniejszy i nieopłacone podatki odbierają się z zarobku z dodatkiem kary niewysokiej. W razie choroby kasa wydaje 4 fr. 20 cts. na pierwszy tydzień i po 1 fr. 20 cts. dziennie w ciągu 18 miesięcy, w razie śmierci wypłaca się pozostałym krewnym zmarłego do 400 fr., w razie kalectwa, do 250 franków, w razie kalectwa z którego można się wyleczyć 150 franków lub wypłatę tygodniową, stosownie do rodzaju niemocy, starcom co więcej jak 10 lat byli członkami kasy wydaje się zapomogę po 6 franków na tydzień. Podobneż kassy są utworzone przy drukarni Orell, Füssli et Comp., przy towarzystwie żeglugi parowej na jeziorze zurychskiem. Staraniem robotników jest kilka kas oszczędności otwartych wyłącznie dla robotników fabrycznych, kasa oszczędności dla pracującej młodzieży i t. p. W tych ostatnich kasach robotnicy miejscy znacznie prześcignęli robotników wiejskich, i liczba członków z niektórych fabryk jest dość znaczną. Istnieje też w niewielkim Zurychu kilka roboczych towarzystw wzajemnego kształcenia się a piękny przykład podało towarzystwo robocze „Zgoda“ (Eintracht), otwierając publiczne kursa początkowej i technicznej nauki dla robotników fabrycznych, gdzie oprócz rachunków, rysowania, buchhalteryi, historyi, zasad ekonomii politycznej, języka francuskiego, są lekcye śpiewu i gimnastyki.

Pomiędzy drobnym rzemieślnikiem tworzą się związki fachowe, dla wspólnego kupna materyałów en gros i wzajemnej pomocy przy konkurencyi z fabrykami, tamującemi rozwój rzemieślniczych warsztatów i pomocy w cięższych czasach *saison morte*. Jest też jedno towarzystwo kredytowe, *soi disant* bank roboczy i jak mi się zdaje, więcej w projekcie wystawy stałe i muzea wyrobów rzemieślniczych.

Co do towarzystw roboczych produkcyjnych, to jakkolwiek bądź kwestya jest wielkiej doniosłości, w swoim czasie robiła wiele hałasu, ba, nawet i teraz żyje jeszcze, trzeba atoli przyznać, że albo się staje po stronie paliatywów i dobroczynności, albo się bierze rzecz z gruntu; towarzystwa zaś produkcyjne robocze zawiązane o własnych siłach, nie mają według mnie racyi bytu, bo nie wytrzymają nigdy konkurencyi z wielkim kapitałem, albo jeżeliby jakim szczęśliwym trafem udało się takiemu towarzystwu wzbić się w górę, to fakt ten będzie miał tylko znaczenie zwiększenia liczby kapitalistów o kilka, kilkanaście, a choćby i kilkaset jednostek, ogólnego zaś znaczenia nigdy mieć nie może, jak na to mamy zbyt doraźne przykłady; więc też sądzę, że nie zbyt grzeszę, przemilczając o istniejących tu trzech czy czterech towarzystwach produkcyjnych krawców, litografów i drukarzy.

Mówiłem już, że nietylko pojedyńcze osoby i sama klasa robocza, lecz całe towarzystwa niosą pomoc kwestyi roboczej przez otwarcie szkółek, przytułków, tanich kuchni, bibliotek, czytelni, przez tanie wydawnictwa, wykłady popularne etc. Z takich instytucyj, zaznaczę tu kilka istniejących w Zurychu towarzystw ogólnej korzyści, towarzystwo pomocy, towarzystwo ewangeliczne, Grütli-verein. W 1860 roku, utworzyło się tu towarzystwo akcyjne, mające na celu budowę zdrowych i najbardziej do potrzeb biednej rodziny zastosowanych mieszkań i domów do wynajęcia i na sprzedaż wypłatną, towarzystwo z dość sporym kapitałem, jednak nie wiem dokładnie dla jakich przyczyn działalność tego towarzystwa nie znalazła pomiędzy robotnikami ani poparcia, ani uznania.

Przy wysokich cenach na mieszkania, na wszelkie produkta pierwszej potrzeby, jak chleb, mięso, masło etc., działalność tych różnych towarzystw jest bardzo potrzebną, szczególniej zaś przy niezbyt wysokich płacach roboczych, których stopnie w różnych fachach zaraz zacytuję. Płace te są wzięte przeciętnie za parę lat ostatnich. Powiększeniu płacy jakie miało miejsce w ciągu ostatnich trzydziestu lat, towarzyszyła też zwiększająca się drożyzna, chociaż nie w jednostajnym stopniu. Tak w przemyśle bawełnianym płacono w roku 1835 przeciętnie: dzieciom 24 cts. teraz 1 fr. 35 cts. kobietom płacono 48 cts. teraz 1 fr. 90 cts. mężczyznom płacono 1 fr. 16 cts., teraz 3 fr. 50 cts. Cena utrzymania się dorosłego robotnika, t. j. mieszkanie i pożywienie podniosły się od tego czasu z 6 fr. 65 ct. za 14 dni do 14 franków. Podać w ogólnych obliczeniach ceny dnia roboczego w różnych fachach treściwie dość trudno, bo ceny te zależą od rozmaitych wpływów indywidualnych, czasowych, okolicznościowych, na ile jednak można, będę się starał trzymać się ścisłości.

Tak w przędzalniach bawełny przy 11-to godzinnej dziennej pracy podnadzorca otrzymuje 3 fr. 40 ct. Zwykli robotnicy i chłopcy od 2 fr. — 2 fr. 30 cts., kobiety 1 fr. 40 — 1 fr. 90 cts. dziewczęta 1 fr. 35 — 1 fr. 55, dzieci 1 fr. 10 — 1 fr. 35; w mechanicznych tkalniach materyj bawełnianych doglądający 4 warsztatów tkackich otrzymuje przecięciowo 48 franków za każde 12 dni roboczych, przy 3 warsztatach 35 franków, przy dwóch 18 franków.

Granice pomiędzy któremi przechodzą różne płace tego fachu dla najbardziej zręcznych 50 fr., dla najmniej 15 fr. Przy jednostajnych warsztatach, jak widzimy, jeden człowiek może doglądać 4 warsztatów i zarabiać do 50 fr., drugi dogląda dwóch i zarabia ledwie 15 fr.

Drukarze na płótnie, otrzymują od 1 fr. 10 cts. — 3 fr. przy $11\frac{1}{2}$ godzinach dziennej pracy.

W przemyśle jedwabniczym przy 13-to godzinnej dziennej pracy w przędzalniach i kręcalniach, mężczyzni zarabiają na tydzień 15 — 20 franków, kobiety 9 — 10 fr., dzieci 5 — 8 fr. Pracując zaś od sztuki zarabiają cokolwiek więcej; w tkalniach materyj jedwabnych tkacz albo tkaczka otrzymują dziennie (13 godz.) 2 — 3 fr. 50 cts., zwijaczki 1 fr. 80 — 2 fr. 40 cts., oczyszczające jedwab' 1 fr. 30 — 2 fr. 75 cts., nakręcający na wiórki 1 fr. 50 — 2 fr. 40 cts., nadzorcy i poprawiacze od 3 — 6 franków.

Na fabrykach wyrobów mechanicznych i giserniach, rozmaitość płacy jeszcze większa. Biorę tu dla przykładu fabrykę Escher, Wyss et Comp. Dzień roboczy $10\frac{1}{2}$ godzin; robotnicy przy budowie maszyn parowych i statków 3 fr. 90 cts., przy budowie młynów i maszyn wodnych 3 fr. 60, gisernicy 4 fr. parobcy bez fachu 2 fr. 60 cts. — 2 fr. 70; przy pracy od sztuki robotnik może zarobić dziennie do 4 fr. 20, zwłaszcza w giserni. gdzie kilkunastu robotnikom płacą razem od dokonanego wspólnie zadania. Dodam tu kilka szczegółów jeszcze o robotnikach tej fabryki. Wiosną 1873 roku z liczby pracujących w niej było 809 żonatych z 1712 dziećmi, większa część pracujących w wieku od 15 — 20 lat, mianowicie 183 i prawie $^3/_4$ w wieku od 15 — 40 lat, połowa pracuje na fabryce więcej niż 5 lat, a niektórzy po 15, 30 i 40 lat, dwóch zaś starców pracuje w niej od 49 lat; na fabryce najwięcej ślusarzy (224); z liczby robotników obywateli kantonu 891, obywateli Szwajcaryi 262 i 155 cudzoziemców.

W fabrykach fortepianów (naprz. Hüni et Hubert) robotnik może zarobić dziennie 3 fr. 40 cts. do 4 franków. W tym fachu jest wielu pracujących od sztuki, i ich zarobek dzienny szczególniej przy politurze może wynieść od 7 — 8 fr. Na fabrykach wyrobów glinianych, fajansowych, gorszy robotnik zarabia 2 fr. 30 — 2 fr. 50 cts., średni 3 fr. — 3 fr. 40 cts., najlepszy 4 fr. 30 — 4 fr. 50 cts., dzieci i kobiety od 1 fr. 20 — 2 fr.

Na gazowej fabryce tutejszej robotnicy dzienni zarabiają 3 fr. 20 cts. podpalacze 4 fr.

W warsztatach żelazno-kolejnych robotnicy 2 fr. 80 — 3 fr. 20 cts., rzemieślnicy 3 fr. 50 — 4 fr. 70 cts., podmajstrowie 4 fr. 80 — 5 fr. 50 cts., majstrowie i dozorcy 5 fr. 50 — 7 fr. 50 cts.

Na fabryce mydła (Steinfels) największej i prawie jedynej w całej Szwajcaryi, robotnik zarabia 3 do 4 franków, z zastosowaniem podziału czystego zysku gospodarza, przy obrachunkach na nowy rok i premiowania od zrobionej roboty.

Robotnicy na fabryce papierowej pobierają 1 fr. 50 — 4 fr. 50 cts. stosownie do płci, wieku i zdolności każdego z zastosowaniem premii od każdego centnara papieru (6 — 20 cts.) i rocznych nagrod najpilniejszym.

W drukarniach (np. Orel, Füssli et Comp.) licząc 12 tysięcy liter dziennie na dobrego zecera, po 45 cts. od tysiąca, stanowi 5 fr. 40 cts. zarobek (około 1 rs. 62 kop.), pracującym od godziny płacą 45 cts.

W zegarmistrzostwie ręczna robota więcej jeszcze jest w użyciu niż fabryczna i zegarki złożone z cząstek wyrobu fabrycznego liczą za najgorsze. Podział pracy jest tu najwybitniejszym. Często jeden człowiek całe życie swoje, robi jedną i tą samą śrubkę lub kółko

i płaca tu najczęściej oblicza się od sztuki. Mężczyzna może zarobić 4 do 7 fr. i więcej, kobieta 2 do 3-ch. Przemysł ten, jak zdaje mi się już mówiłem, w Zurychu mało rozwinięty.

Co do wyłącznie rzemieślniczych fachów, mogę tu podać następujące wiadomości: dobry mularz ma dziennie od 4 fr. 40 do 4 fr. 50 cts., polerujący 6 fr., gorszy mularz 3 fr. 50 cts. uczeń 2 fr. 40 — 2 fr. 40 cts., niefachowy robotnik 3 fr. 30 — 3 fr. 50 cts. przy 10½ godz. dziennej pracy. W tym fachu liczą jako korzyść robotników, że oni mogą oszczędzać się w wydatkach na mieszkanie, żyjąc najczęściej w barakach; u stolarzy dobry podmajstrzy otrzymuje 4 — 5 fr. dziennie, przy 10½ godz. pracy, gorszy 2 fr. 80 — 3 fran., uczeń stolarski oddany na lat 4 do terminu, nic nie płaci i nic nie odbiera, dają mu tylko utrzymanie, uczeń zaś oddany na lat 3 płaci majstrowi 200 — 300 franków.

Krawcy po większej części pracują od sztuki, tak się dzieje przynajmniej w większych pracowniach. Najstarszy i największy dom krawiecki tutejszy Benninger: płaci od modnego surduta czarnego 25 fran: za uszycie, od spodni 5 fr. — 5 fr. 50 cts., od kamizelki 4 fr. 50 — 5 fr. W pilnym czasie pracując od sztuki dobry robotnik może zarobić od 7 — 8 fr., ale za to w czasie *saison morte*, trwającego w tym fachu do 4 miesięcy zarabia bardzo mało. Przy pracy 11-to godzinnej płacą lepszym podmajstrzym 5 fr. 50 cts. gorszym 3 fr. 50 cts. Robiąc od sztuki pracują zwykle w czasie pilnym 13 albo 14, a czasem i 16 godzin dziennie.

Dom szewcki Henry Weber, płaci podmajsterkom, na tydzień max. 18, minim. 15 franków. Dobry i pilny czeladnik pracując od sztuki może zarobić do 25 fr. i więcej na tydzień.

W maju 1873 roku, zawartą została pomiędzy majstrami i czeladnikami szewckiemi taryfa czyli cennik każdego rodzaju obuwia; według tego cennika płaci się robotnikowi od pary butów 8 — 9 fr., od kamaszów 4 — 4 fr. 50 cts. etc.

Żeby jednak skrócić te obliczenia wypisuję tu małą tabellę zarobkowania w różnych fachach rzemieślniczych.

	maximum	minimum
	Tygodniowo z pomieszkaniem i jedzeniem	
piekarze	8 fr.	6 fr.
stolarze	9 „	6 „
krawcy	10 „	6 „
szewcy	8 — 9	6 — 7
kowale	12 — 14	5 — 6
fryzyerzy	6	5
	Dziennie bez mieszkania i jedzenia.	
mularze	4 — 5	3 — 3. 50
cieśle	3. 40 cts.	2, 90
ślusarze	5	3, 20
mularze	3. 25 cts.	2, 60
tapicerzy	4	3.

Robotnicy niefachowi odbierają zwykle za swoję siłę fizyczną 2 fr. 50 do 2 fr. 75 cts. dziennie (75—82½ kop.).

Uczniowie w większej części trzymani bywają przez majstrów 3 lata na nauce (w terminie), u niektórych piekarzy 2 lata, u ślusarzy czasem 4 lata; płacą majstrowi u stolarzy 200 i więcej franków (60 rs.) u piekarzy 100, u malarzy 150 — 200, u krawców 100; majster powinien dać uczniowi utrzymanie.

Ceny, jak widzimy, są wyższe od zwykle praktykowanych w naszych miastach i miasteczkach[1]), ale też i utrzymanie kosztuje nieporównanie drożej. Ceny produktów nie dadzą się porównać z naszemi. Chleb biały (razowego tu niedostanie) kosztuje zwykle 25-26 cts. (siedm i pół kop.), mięso wołowe niższego gatunku 75—80 cts. (22½ kop. — 25 kop. było wprzód znacznie droższe), mleko za jeden maass (1½ litra) 30 cts., masło 1 funt 1 fr. 40 cts., kartofle do 5 fr. centnar (50 kop.), opał: za króbkę drzewek, jakich (króbek) można dwie albo i więcej podjąć, płaci się do 60 kop., półsążeń drzewa grabowego kosztuje 60 fr. czyli 18 rs., centnar węgla ziemnego (Schieferkohlen) kosztuje 2 fr. 20 cts. i t. d. w tym stosunku. Przytem pomieszkanie, którego ceny wskazałem, ubranie i wszelkie inne wydatki są tu wielkie. Obliczono, że na utrzymanie zupełne rodziny z 5-ciu osób w bardzo miernym stanie, trzeba rocznie 2.212 franków (663 z górą rs.) w Zurychu—więc chociażby ojciec zarobił codzień 3½ fr., matka 2, to zawsze jeszcze daleko do tej normy. Trzeba też liczyć cokolwiek na przyjemności, bez których żaden człowiek, szczególniej przy pracy obejść się nie może. Ta potrzeba załatwia się tu najczęściej przy szklance piwa i piosence, czasem przy książce, bo co do dzienników, to ich tu każdy czyta, albo przynajmniej ma chęć czytać.

Jedną z najważniejszych kwestyj pracy fabrycznej jest stan zdrowia pracowników, a kwestya ta w Zurychu stoi może gorzej niż gdzieindziej. Pomimo wszelkich sanitarnych i higienicznych środków, jakich używają i jakie rekomendują robotnikom ze wszystkich stron, trzeba przyznać, że żadna również biedna klassa ludzi nie cierpi tak na zdrowiu jak robotnicy fabryczni i rzemieślnicy, nie ma fachu, któryby nie miał swojej uprzywilejowanej choroby, jak rozszerzenie wen w nogach u zecerów, jak trucie się powolne farbiarzy i t. p.; jeśli zaś do tych fachowych chorób dodamy ogólne wyniszczenie od pracy, niewystarczającego pożywienia, niezdrowych mieszkań, choroby przypadkowe, które się zdarzają bardzo często na fabrykach działających za pomocą maszyn i ognia i w końcu specyalne choroby szwajcarskie jak kretynizm i idiotyzm (kretynów tu bardzo wiele), to łatwo się wtedy zgodzić ze statystyką, podającą liczbę chorób u robotników największą i ich średni wiek najkrótszym. Dr. Mejn mówi: „L'homme est l'expression du sol sur lequel il vit," więc jeżeli do warunków gruntu miejscowego dodamy wyżej podane warunki zdrowia, pracę w dusznej atmosferze fabryki, przy najszkodliwszych często wyziewach, zrozumiemy wtedy dla czego przy popisie prawie, 10-ta część tutejszej młodzieży okazuje się niezdatną do służby wojskowej (praktyczność Szwajcarów wypowiedziała się i pod tym względem: niezdatni do służby nie są zupełnie wolni, jak to ma miejsce u nas, tylko na mocy tego, że niezdatny do służby może być jednak zdatny do pracy, obowiązują każdego z brakowanego płacić roczny podatek po 5 fr. od 20 — 32 lat, po 3 fr. od 32 — 40, i po 2 od 40 — 44 lat, oprócz tego zaś niewielki procent od majątku i procent od zarobkowania).

[1]) Prawie ze wszystkich krajow zachodnich Europy, robotnicy szwajcarscy otrzymują najmniejszą płacę.

Cokolwiek jednak utrzymywać osobiście o stanie wyrobników tutejszych, niepodobna przeczyć liczbom, racya których jest niezwalczoną. Liczby zaś te podają prawdopodobieństwo dłuższego życia daleko większą dla klas bogatych niż biednych, prawdopodobieństwo wychowania swoich dzieci, prawdopodobieństwo zdrowia — daleko jest większem u klass dostatnich. Z tysiąca np. ludzi klassy dostatniej i tysiąca biednej urodzonych w jednym czasie zostaje przy życiu:

	Dostatnich	Biednych
po 5 latach	943	655
„ 10 „	938	598
„ 20 „	866	566
„ 30 „	796	486
„ 40 „	695	396
„ 50 „	557	283
„ 60 „	398	172
„ 70 „	235	65
„ 80 „	57	9

Z tej tabelki, chociaż obliczonej dla innej miejscowości, można wnosić o ile wiek ludzi dostatnich dłuższy jest nad wiek biednych. Można by tu zastosować wiele obliczeń w tym rodzaju, lecz i powyższa tabelka wystarcza.

Kończąc ten dział mojej pracy dodam ze słów pierwszego kongresu statystycznego: „Sans doute, la statistique s'ocupe de chiffre; le chiffre en est l'élément principal, mais n'en est pas l'élément unique. La statistique est aussi la science raisonnée de faits." Tak jest w istocie; zdanie wypowiedziane przezemnie w jednym z listów moich, że korzyść jednego wyradza krzywdę drugiego, potwierdza się tu zupełnie przez liczby.

Wiele, a wiele kwestyj nasuwa się do głowy gdy raz się zagabnie o stan klassy roboczej, al i tak widzę, że moje listy przybierają rozmiary traktatu o stosunkach tutejszych, co nie wchodziło w ich założenie, przeto przejdę do drugich podziałów pracy tutejszej. Co jest faktem w przemyśle tutejszym, to mniej więcej wykazałem, co zaś istnieje w projekcie, w przyszłości, o tem przemilczam, boby tego było zawiele.

Zatem z przemysłem fabrycznym i rzemieślniczym bastuję.

K. Rola.

DZIEWCZYNA Z TREPPI.

NOWELLA

przez

P. Heysego.

(Rzecz z 1855 roku)

(Dokończenie).

Nie okazawszy żadnej oznaki radości, powstała i rzekła: posilmy się, bo później nic nie znajdziemy. Podsunęła mu miskę i dzban; sama jadła stojąc przy kominie, ale wina nie skosztowała i kropelki. On przeciwnie, dla pośpiechu zjadł parę łyżek, wypił wszystko wino, i zapalił cygaro od węgli na kominie. W ciągu tego czasu ani razu nie spojrzał nawet na nią, teraz przypadkiem zbliżywszy się

gdy rzucił na nią spojrzenie, postrzegł na jej twarzy jakiś dziwny rumieniec, a w oczach jakby oznakę zwycięztwa. Powstała szybko, porwała dzban i rzuciła go na kamienną podłogę. — Nikt już z niego pić nie będzie — rzekła — skoro wasze usta na nim zawisły.

Przeczuciem tknięty, powstał, i na sekundę zrodziło się w jego umyśle podejrzenie: czy ona mu truciznę podała? ale potem wyobraził sobie, że to były resztki jej miłosnego szału, którego się wyrzekła, i nic już nie mówiąc wyszedł z nią z domu.

— Konia zabrali z sobą napowrót do Perrety — rzekła do niego na podwórzu, gdy zdawał się szukać go oczami. — Nie moglibyście przytem pojechać tam konno bez narażenia się na niebezpieczeństwo; drogi są spadzistsze, niż wczoraj.

Poszła przed nim naprzód, i wnet chałupy daleko zostawili za sobą, pod żarem palących promieni słońca były one jak wymarłe, najlżejszy dymek nie wydobywał się z kominów. Teraz dopiero postrzegł Filippo całą majestatyczność tej samotni, nad którą wznosiło się niebo przezroczyste, jasne. Droga po nagich skałach, zaledwie po ciemnym szlaku dostrzegalna, wiodła w północną stronę po szerokim grzbiecie, i kiedy niekiedy, skoro równoległe pasmo gór nieco się obniżało widać było z lewej strony połyskujące na horyzoncie morze. Nie było tu jeszcze najmniejszego śladu wegetacyi, prócz górskich ziół i pnących się karłowatych krzaczków. Teraz spuścili się z wyżyny i wstępowali do wąwozu, który należało przebyć, chcąc się dostać na przeciwległą skałę. Tu spotkali wnet iglaste drzewa i źródła które wytryskiwały z wąwozu, a w głębi słyszeli szmer wody. Fenice ciągle szła naprzód, pewnym krokiem wstępując na najbezpieczniejsze kamienie; nie oglądała się i nie rzekła słowa. Nic mu więc nie pozostało innego, jak postępować za nią, ścigając wzrokiem jej wysmukłą postać i podziwiając siłę jej członków. Twarzy wcale nie widział, gdyż ukrywała ją duża biała chustka zarzucona na głowę, lecz gdy wypadło, że obok siebie iść mogli, to przymuszał się spoglądać na stronę i odwracać się od niej, tak go pociągała artystyczna regularność rysów. Teraz dopiero, w pełni światła, zauważył w nich wyraz istnie dziecinnej niewinności, chociaż nie umiał sobie powiedzieć, na czem on polegał. Jakby w tej twarzy nic się od lat siedmiu nie zmieniło, gdy cała postać się rozwinęła.

Wreszcie zaczął z nią rozmawiać i dawała mu rozsądne odpowiedzi. Tylko jej głos, który chociaż nigdy nie był ostry i stłumiony, jak to zwykle bywa u kobiet górskich, dziś brzmiał smutnie i jednostajnie, gdy mówiła o najobojętniejszych rzeczach. Droga, którą szli teraz była uczęszczaną niejednokrotnie przez politycznych zbiegów z których niejeden zapewne odpoczywał w Treppi. Filippo zapytał o tego lub owego ze swoich znajomych, którego jej opisał, lecz ona rzadko ich sobie przypominała, chociaż wiedziała, że contrabandieri wielu obcych ludzi na nocleg do jej domu sprowadzali. Tylko przy opisie jednego z nich, krew uderzyła jej na twarz i umilkła.—To był zły człowiek, rzekła posępnie. Musiałam w nocy pobudzić parobków i kazać przed nim drzwi domu zamknąć.

W czasie tej rozmowy adwokat nie postrzegł, że słońce wciąż się podnosi, a tu jak nie widać, tak nie widać pól toskańskich. Jakoś nie myślał on o końcu tego dnia. Tak było orzeźwiająco iść o pięćdziesiąt kroków nad potokiem przez zarosłą krzakami drogę, czuć niekiedy wznoszący się pył do góry; patrzeć jak rącze motyle gonią za ukradkowym promieniem słońca, iż ani postrzegł, jak postępowali wzdłuż strumienia i wcale nie skręcali na zachód. Jakiś czar był w głosie jego towarzyszki, co mu kazał o wszystkiem zapomnieć, co go wczoraj gdy był z kontrabandzistami bezprzestannie zajmowało. Lecz teraz gdy już wyszli z parowu, a przed niemi roztoczył się jakiś dziki, niezmierzony okiem górski krajobraz z nowemi wyżynami i przepaściami, nagle się zbudził z tego czarodziejskiego uśpienia, zatrzymał się i spojrzał na niebo. Poznał, iż szli w zupełnie przeciwnym kierunku, i na jakie dwie godziny drogi oddalili się od właściwego celu...

— Stój! — zawołał Filippo, wczas jeszcze się postrzegłem, żeś mnie w końcu oszukała. Czy ta droga prowadzi do Pistoi, ty zdradliwa kobieto?

— Nie — odrzekła bez trwogi, spuściwszy jednak wzrok ku ziemi.

— A do kroćset... to diabli powinni chodzić do ciebie, jak do szkoły i uczyć się od ciebie obłudy. Przeklęte moje zaślepienie!

— Można wszystkiego dokonać! jest się potężniejszym niż diabeł i anioł, jeśli kochamy, rzekła stłumionym smutnym głosem.

— Nie! — zawołał w wściekłym gniewie — nie tryumfuj jeszcze, zuchwała, jeszcze nie! Woli mężczyzny nie może przełamać to, co szalona dziewka nazywa miłością. Wracaj się zaraz ze mną i wskaż najkrótszą drogę, bo inaczej uduszę cię temi rękami. Czy nie widzisz ty błaźnico, że cię nienawidzić muszę, gdy mnie przed całym światem chcesz uczynić niegodziwcem.

Przystąpił do niej z zaciśniętemi pięściami, gdyż nie był już panem siebie.

— Zabij mnie! — rzekła drżącym donośnym głosem — uczyń to Filippo! Lecz gdy tego dokonasz, rzucisz się na mojego trupa i krwawemi łzami płakać będziesz, abyś mnie mógł do życia przywrócić. Twoje miejsce będzie obok mnie, z sępami walczyć będziesz, które przyjdą mnie rozszarpać, we dnie słońce suszyć cię będzie, a w nocy moczyć rosa, aż padniesz jak ja.... gdyż odemnie nie możesz się już oderwać. Czy myślisz sobie, że biedne, głupie stworzenie w górach wzrosłe, odrzuci siedm lat jak dzień jeden? Wiem, co one mnie kosztowały, jak drogo mi przyszły, i uczciwą daję cenę, jeśli za nią pragnę cię drogo okupić. Puścić cię na śmierć? Ależ to śmiechu warte... Chciej odejść ode mnie, a wnet zmiarkujesz, iż na wieki jesteś do mnie przywiązany. Ponieważ z winem które dziś wypiłeś zmieszany był napój miłośny, któremu nie oparł się jeszcze żaden człowiek pod słońcem!

Wyglądała jak królowa, gdy wyrzekłszy te słowa wyciągnęła do niego rękę, jakby w niej trzymała berło wyciągnięte nad jednym z tych, co dostał się pod jej władzę. On jednak roześmiał się zuchwale i zawołał:

— Twój napój miłosny źle ci posłużył, gdyż w tej chwili nienawidzę cię więcej, niż kiedykolwiek. Ależ błazen ze mnie, że nienawidzę błaźnicę. Niech-że cię to tak od urojenia, jak i od miłości uleczy, gdy mnie już nigdy nie ujrzysz. Nie potrzebuję twojego przewodnictwa. Postrzegam właśnie tam na urwisku pasterską chatę, a w koło niej trzodę. Widać ogień. Tam wskażą mi drogę. Bądź zdrów biedny wężu!

Ona nic nie odpowiedziała, gdy odchodził; usiadła spokojnie w cieniu skały, obok wąwozu, zatopiwszy swoje duże oczy w zieleni sosen, które poniżej nad strumieniem zapuściły korzenie.

Jeszcze nie odszedł od niej daleko, gdy stracił ślad ścieżki i znalazł się pomiędzy ostremi skałami i krzakami, gdyż jakkolwiek wypierał się sam przed sobą, słowa tej osobliwej dziewczyny, niepokojący wpływ na jego serce wywarły i wszystkie jego myśli zajęły. Wszelako wciąż widział przed sobą ów ogień pastuszy, żwawo torował sobie drogę aby się tylko przedrzeć przez dolinę. Wnosząc po słońcu, zdało mu się, iż było już koło godziny dziesiątej. Gdy jednak przebył pochyłość skały, znalazł na dole drogę cienistą, a nawet ścieżkę ku nowemu górskiemu potokowi, który, jak sądził doprowadzi go do pożądanego miejsca. Szedł w jego kierunku, z początku droga była pochyła, lecz później wielkiemi zakrętami wiła się w górę. Postrzegł, że nie zaraz doprowadzi go ona do celu, lecz innego nie miał wyboru, przed nim były nie do przebycia spadziste skały, nie chciał się cofać za żadną cenę, szedł więc tą samą drogą dalej. Z początku szedł szybko i raźnie, jakby z więzów wyswobodzony, i wesoło spoglądał ku owej chacie, która się teraz cofała. Zwolna, gdy krew łagodniej w jego żyłach płynęła, znów mu się nasuwały w pamięci wszystkie szczegóły całego wypadku. Piękne dziewcze znów widział przed sobą, mgła szalonego gniewu opadła, nie mógł się obronić od współczucia dla niej.

— Biedna obłąkana dziewczyna—mówił do siebie: teraz siedzi tam samotna i ufa w swoje czarodziejskie sztuki. Dla tego też wczoraj wyszła w nocy z domu o blasku księżyca i Bóg raczy wiedzieć jakie niewinne zbierała zioła. A tak, przypominam sobie, czyliż mi contrabandieri nie pokazywali jakieś dziwne białe kwiatki pomiędzy krzakami i powiadali, że wielka ich siła przeciwko miłości? Biedne rośliny, jakże was ogadano! Dla tego też wino tak mi się gorzkiem wydało. Ależ to dzieciństwo... wszak im starsze, tem mocniejsze!... Jak sybilla stała przedemną, a tak była pewną swej prawdy jak owa Rzymianka, co księgi w ogień rzuciła. O biedneż to serce kobiece, jakże cię pięknem i nieszczęśliwem czynią twoje marzenia!

Im dalej szedł, tem mocniej uczuwał wzruszające panowanie jej miłości i całą potęgę jej piękności, którą rozłączenie w tem świetniejsze oblekało barwy.—Nie powinienem był tak jej odpłacać i iż w najlepszej wierze ra-

towania mnie, chciała mnie zwolnić od nieuniknionych obowiązków. Powinienem był podać jej rękę i powiedzieć: kocham cię, Fenice, i jeśli przy życiu zostanę, powrócę i zabiorę cię z sobą. Jakżem był ślepy, iżem tego nie dojrzał! hańba adwokatom! Wśród pocałunków, jako narzeczony, byłbym się z nią pożegnał, wtedyby nie miała urazy, gdybym ją zawiódł. Zamiast tego zaperzyłem się w gniewie i wszystko popsułem.

I rozmarzył go obraz takiego pożegnania, zdawało mu się, że czuje jej oddech i pocałunek na swoich ustach. Zdawało mu się, iż go wołano po imieniu. Fenice, odpowiedział wzruszonym głosem i przystanął. Strumień szemrał pod jego stopami, gałęzie sosen zawisły nieruchomo, a w koło niego cienista pustynia.

Już po raz drugi jej imię miał na ustach, chciał jej przywołać, gdy dość wcześnie jakiś wstyd go powstrzymał. Wstyd i smutek zarazem. Uderzył się w czoło. Czy już tak źle ze mną, iż na jawie marzę? zawołał. Mówiłażby ona prawdę, że temu urokowi żaden człowiek pod słońcem oprzeć się nie może? A to w istocie, nie byłbym niczem lepszem, jak tem, czem mnie uczynić chciała: pokornym sługą kobiety przez całe moje życie. Nie, idź sobie do piekła, piękna, zdradliwa diablico!

W tej chwili znów się opamiętał, ale też i spostrzegł zarazem, że zszedł z drogi i na dobre zabłądził. Cofać się nie mógł z obawy, aby nie wpaść w jej ręce. Postanowił więc za jakąbądź cenę znów na wierzchołek się wdrapać, skądby mógł odszukać oczyma ową pasterską chatę. Brzeg pod którym szumiał potok był blisko. Zarzucił więc płaszcz na plecy, wybrał najbezpieczniejsze miejsce, i za jednym skokiem był na drugiej stronie rozpadliny. Ożywiony lepszą myślą, pomknął w górę i wydobył się na słońce.

Ciężko pochylił głowę, język miał spragniony, gdy z wielkiem wysileniem wydobywał się na wierzch. Teraz znów go opanował smutek, ponieważ mimo tylu trudów bynajmniej nie zbliżył się do celu. Krew coraz silniej uderzała mu do głowy. Złorzeczył przeklętemu winu, którego pociągnął z rana, i dalejże rozmyślać o białych kwiatkach, które mu wczoraj wśród drogi pokazywano. Tu one rosły... dreszcz go przeszedł po skórze. Gdyby to była prawda, że one taką moc mają, iż potrafią owładnąć naszem sercem, duszą naszą, i wolę mężczyzny mogą ugiąć według upodobania kobiety.... ależ nie, raczej wszystko znieść, niż tak się shańbić! śmierć raczej, niż służalstwo! Nie, to być nie może! nad tym tylko kłamstwo ma władzę, kto mu daje wiarę. Bądź mężczyzną, Filippo, naprzód, oto szczyt przed tobą... jeszcze chwilkę, a wszystkie te góry ze swemi czarami będą daleko od ciebie.

A jednak nie mógł uspokoić rozburzonej krwi. Każdy kamień, każde spadziste miejsce, każda uschła gałęź sośniny stawiały mu zawadę, którą pokonywał z całem wytężeniem swej woli. Lecz chwytając się za ostatni krzaczek, gdy jednym skokiem dosięgnął szczytu najwyższego, ciemno mu się w oczach zrobiło, tak silnie krew uderzyła mu do głowy, iż olśniło go słońce, którego blask zdwajały wznoszące się w koło skały żółte. Szalejąc prawie, potarł ręką czoło i przesunął ją po rozrzuconych włosach, zdjąwszy kapelusz. Wtedy na prawdę usłyszał wymówione swoje imię, z trwogą spojrzał w to miejsce skąd go wołano. O kilka kroków na przeciw niego, na skale siedziała Fenice tak jak ją pozostawił, teraz spojrzała na niego łagodnem uszczęśliwionem okiem.

— Przychodzisz wreszcie, Filippo — rzekła doń serdecznie — wcześniej spodziewałam się ciebie.

— Widmo piekielne! — zawołał przerażonym głosem, w którym przebijała się groza walcząca z całą namiętnością tęsknoty — szydzisz jeszcze ze mnie, gdy ja wśród udręczenia błąkam się po manowcach, a słońce mózg mi topi? Tryumfujesz że raz jeszcze muszę cię oglądać, aby cię raz jeszcze przeklinać. Skoro cię znajduję, to na potężnego Boga, nie szukałem cię wcale, i dla tego utracić mnie musisz.

Dziwnie uśmiechając się, wstrząsnęła głową.

— Pociąga cię, chociasz sam o tem nie wiesz — rzekła. Znalazłbyś mnie, choćby wszystkie góry całego świata przedzielały nas, ponieważ siedm kropli serdecznej krwi psa do twojego wina wsączyłam. Biedny Fuoco! Kochał mnie, a ciebie nienawidził. Będziesz i ty nienawidził dawnego Filipa, który mnie odtrącił, tylko wtedy będziesz spokojny, gdy mnie pokochasz. Filippo, czy nie widzisz teraz, żem cię w końcu zdobyła? Chodź pokażę ci drogę, ale do Genui, mój ukochany, mój mężu, moje bożyszcze.

Poczem powstała i chciała go objąć rękami, gdy nagle przeraziła się jego twarzy. Pobladł cały jakby rażony śmiertelnym ciosem, tylko białka w oczach krwią mu naszły, usta poruszały się nie wydając głosu, kapelusz zleciał mu z głowy, rękami bronił się od wszelkiego zbliżenia się.

— Pies! krew psia! były pierwsze słowa, które z trudnością wymówił. — Nie, nie, ty nie zwyciężysz demonie! Lepiej być umarłym człowiekiem, niż żyjącym psem! Potem zaśmiał się strasznym śmiechem i zwolna jakby każdy krok wywalczał siłą, utkwiwszy dzikie spojrzenie w dziewczynę, cofał się taczając i runął na wznak w wąwóz, który był właśnie opuścił.

W oczach jej się zaćmiło, przyłożyła obiedwie ręce do serca, krzyknęła głosem, który niby głos sokoła rozległ się nad parowem, gdy ujrzała wyniosłą postać znikającą z krańca skały. Zrobiła parę chwiejących się kroków, potem stanęła i wyprostowała się, cisnąc wciąż rękami serce. Madonna! zawołała tylko, nie mogąc zebrać myśli. Ciągle patrząc przed siebie, zbliżyła się szybko do parowu, i zaczęła się staczać na dół po kamiennej ścianie pomiędzy sosnami. Szeptała jakieś wyrazy, ciężko oddychając, jedną ręką cisnęła serce, a drugą chwytała się za kamienie i krzaki. Doszła tak aż do korzeni sosen.... tam leżał on. Miał oczy zamknięte, czoło i włosy we krwi broczące, wsparty plecami o jakiś pień. Surdut był rozdarty i prawa noga zdaje się była także skaleczoną. Czy żył jeszcze poznać nie mogła. Gdy go wzięła na ręce, wtedy uczuła, że się porusza. Płaszcz, który zwinął na plecach, widocznie zmniejszył siłę spadku. — Chwała ci Jezu! — rzekła głęboko odetchnąwszy. Wtedy zdaje się, jakby olbrzymich sił nabrała, gdy mając na piersi bezsilnego człowieka, zaczęła piąć się do góry. Długo to trwało, po razy kilka kładła go na mchu pomiędzy skałami, a wciąż okazywał znaki życia.

Gdy wydobyła się wreszcie na górę ze swoim nieszczęśliwym ciężarem, zachwiały się pod nią kolana i przez chwilę leżała utraciwszy przytomność. Potem wstała i oddaliła się w kierunku, gdzie leżała chata pasterska. Gdy się do niej na pewną odległość zbliżyła, po dolinie rozległo się jej wołanie. Echo odpowiedziało naprzód, a potem głos ludzki. Dwukrotne uczyniwszy wezwania, powróciła na miejsce nie czekając odpowiedzi. Gdy stanęła przy martwym człowieku ciężko jęknęła i zaniosła go w cień, pod skałę, gdzie sama przed tem siedziała, czekając na niego.

Tam jeszcze się znajdował, gdy nieco przyszedł do przytomności i po raz pierwszy oczy otworzył. Ujrzał około siebie dwóch pasterzy, jednego starca, drugiego chłopca siedmnastoletniego. Skrapiali mu twarz wodą i rozcierali skronie. Miękko miał pod głową, i wcale nie wiedział, że wsparł ją na łonie dziewczyny.

Zdawało się jakby zupełnie o niej zapomniał. Westchnął głęboko, wstrząsnął się cały i znów zamknął oczy. Wreszcie upraszał przerywanym głosem: — Możeby który z was dobrzy ludzie, zechciał pobiedz do Pistoi. Tam czekają na mnie. Niech Bóg litościwy nagrodzi temu, kto powie gospodarzowi „Pod fortuną“... co się ze mną dzieje. Nazywam się..... znów umilkł i stracił przytomność.

— Ja pójdę — rzekła dziewczyna. — Wy tymczasem zanieście tego pana do Treppi i połóżcie go w łóżku, które wam Nina pokaże. Niech ona przywoła starą Chiaruccią, aby tego pana leczyła i opatrzyła jego rany. Weź go na plecy Tomasso, ty zaś Bippo unoś nogi. Gdy zejdziecie z gór, ty Tomasso idź przodem. No, podnieście go! Tylko zwolna, lekko! Zaczekajcie... zmaczajcie to w wodzie i połóżcie na czole, i róbcie to przy każdem źródle. Czyście zrozumieli?

Udarła kawał swej lnianej chustki na głowę, zmaczała i obwiązała skrwawione włosy Filippa. Potem go podniesiono, mężczyzni ponieśli go do Treppi, a dziewczyna popatrzywszy na nich przygasłemi oczami, podwiązała się szybko i puściła dzikiemi ścieżkami gór.

Było już koło godziny trzeciej po południu, gdy dochodziła do Pistoi. Oberża „pod fortuną“ leżała na jakie sto kroków przed miastem, a że to była godzina siesty, mało w niej znajdowało się ludzi. W cieniu obszernego przysienia stały wyprzężone wozy, woźnice spali na poduszkach; w ogromnej kuźni na przeciwko przerwano robotę, wzdłuż ulicy obsadzonej grubo zakurzonemi drzewami najlżejszy wietrzyk nie przeciągał. Fenice zbliżyła się do fontanny przed domem, strumień jej czynny jedynie w tej chwili sączył się do kamiennego żłobka, ochłodziła sobie ręce i twarz. Potem piła zwolna i długo,

aby głód i pragnienie zaspokoić, potem weszła do oberży.

Gospodarz podniósł się ospale z ławki w izbie szynkowej, lecz wnet się położył, zobaczywszy, że to górska dziewczyna spoczynek mu przerwała.

— Czego chcesz? — zapytał jej. — Jeśli chcesz co zjeść lub napić się wina, to idź do kuchni.

— Czy jesteście tu gospodarzem? — zapytała spokojnie.

— A któżby inny, jeśli nie ja. Przecież mnie znają wszyscy, jak sądzę: Baltassare Tizzi z pod „Fortuny.“ Cóż cię do mnie sprowadza piękna dziewczyno?

— Przysyła mnie signor avvocato Filippo Mannini.

— Hę, hę, co takiego? Kiedy tak, to zupełnie co innego — i powstał pospiesznie. — Czy sam nie przybywa? Tam są panowie, co na niego czekają.

— To doprowadźcie mnie do nich.

— Oj skryta dziewczyno, a nie możnaby wiedzieć, co kazał on panom powiedzieć?

— Nie.

— No, dobrze, dobrze moje dziecko. Każdy może mieć swoje tajemnice, zarówno piękna głowa takiego jak ty uparciucha, jak twarda czaszka starego Baltazara. Ha, ha... to on więc nie przybywa; to wielką nieprzyjemność tym panom sprawi; zdaje się, że ważny do niego mają interes.

Umilkł i przypatrywał się dziewczynie z boku, mrugając oczami. Lecz gdy ta wcale nie okazywała chęci zwierzania się mu, lecz otworzyła drzwi, wsadził sobie słomiany kapelusz i powlókł się z nią, kiwając głową.

Mały winny ogródek leżał za podwórzem, które przeszli; stary wciąż robił zapytania, na które dziewczyna ani słówkiem nie odpowiedziała. W końcu środkowego szpaleru leżał niepozorny domek ogrodowy. Okiennice w nim były zamknięte, a szklanne drzwi od wnętrza gęstą firanką zasłonięte. Na kilka kroków przed tym pawilonem, gospodarz zostawił Fenice, a sam zbliżył się do drzwi, które gdy zapukał otworzyły się. Fenice dostrzegła, jak wtedy firanka rozsunęła się i para oczu skierowała się na nią. Potem wrócił stary i powiedział, że panowie pragną się rozmówić.

Gdy Fenice weszła do pawilonu, powstał jakiś człowiek, który siedział przy stole, odwrócony tyłem do drzwi, i rzucił na nią krótkie przenikliwe spojrzenie. Dwaj inni nie powstali z krzeseł. Na stole widziała butelkę z winem i kieliszki.

— Signor avvocato nie przybywa, jak to przyrzekł? — zapytał człowiek, który stał przed nią. — Kto ty jesteś, i jaki masz dowód, że on cię przysyła.

— Jestem z Treppi, nazywam się Felice Cattaneo, a co do dowodu, panie, to nie mam żadnego, prócz tego, że mowię prawdę.

— Dla czego signor avvocato nie stawił się? Sądziliśmy, że jest człowiekiem honoru.

— Jest nim zawsze; ponieważ spadł ze skały i tak silnie zranił sobie czoło i nogę, iż utracił przytomność.

Pytający wymienił spojrzenie z innemi i znów rzekł:

— W samej rzeczy, zdradzasz prawdę Fenice Cattaneo, ponieważ nie umiesz dobrze kłamać. Gdyby on stracił przytomność, to jakżeby mógł cię tu przysłać, abyś to nam powiedziała?

—Odzyskał mowę na chwilę. Wtedy powiedział, że jest oczekiwany „Pod fortuną,“ należałoby zawiadomić tam, co go spotkało.

Suchy śmiech jednego z siedzących dał się słyszeć.

— Widzisz — rzekł mówiący — że i ci panowie nie szczególną pokładają wiarę w twoją bajeczkę. Zaiste, łatwiej ona przychodzi poecie, niżeli człowiekowi honoru,

— Jeśli to ma znaczyć, signor, że signor Filippo z tchórzowstwa tu nie przybył, to jest podłe kłamstwo, z którego niebu zdacie sprawę! — rzekła dobitnie i ostro spojrzała na wszystkich trzech z kolei.

— Jesteś za gorąca, moja mała! — szydził sobie ów człowiek. — Zapewne jesteś dobrą przyjaciołką pana adwokata, hę?

— Nie, Madonna wie o tem! — rzekła głęboko przejmującym głosem.

Mężczyzni zaczęli szeptać między sobą; ona słyszała, jak jeden z nich mówił: Gniazdo jest jeszcze toskańskie. — Ależ nie wierzycie przecież na seryo w ten wykręt, odparł mu trzeci. On tak leży w Treppi, jak....

— Chodźcie i przekonajcie się sami — przerwała Fenice szeptającym.—Ale broni nie weźmiecie z sobą, jeśli ja mam was prowadzić.

— I cóż ty myślisz sobie, głupia dziewczyno, żebyśmy nastawali na życie tak nędznego jak ty stworzenia?

— Na moje nie, ale na jego, wiem o tem.

— Czy nie stawiasz nam czasem innych jeszcze warunków, Fenice Cattaneo?

— Tak, aby lekarz udał się z nami. Czy znajduje się on między wami, signori?

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Nachylili ku sobie głowy i naradzali się.—Jakeśmy tu przychodzili, widziałem go przypadkiem przed domem; zapewno nie wrócił jeszcze do miasta — rzekł jeden z nich, i wyszedł natychmiast z pawilonu. Wnet powrócił i przyprowadził z sobą jakiegoś jegomościa, który zdaje się nie znał towarzystwa, do jakiego został wprowadzony.

— Prawdziwą zrobicie nam grzeczność, gdy się z nami do Treppi udacie — odezwał się jeden z nich. — W drodze dowiecie się o co rzecz idzie.

Ten skłonił się milcząc i wszyscy czterej wyszli z pawilonu. Kiedy koło kuchni przechodziła Fenice, kazała sobie dać kawałek chleba, którym się posiliła. Potem znów poszła naprzód z owemi panami i skierowała się w góry. W czasie drogi nie zwracała uwagi na swoich towarzyszów, z zapałem między sobą rozprawiających, lecz co jej sił starczyło, pospieszała dalej, tak iż musiano wołać na nią, żeby im z oczu nie zginęła. Przystanęła więc patrząc przed siebie w smutnem zamyśleniu, i silnie ręką przyciskając serce. Miało się już ku wieczorowi, gdy wyżyn dosięgli.

Wioska Treppi nie była bardziej ożywioną jak zwykle. Kilka ciekawych głów dziecinnych ukazało się w oknach, kilka kobiet stanęło przede drzwiami, gdy koło nich przechodziła Fenice ze swojem towarzystwem. Nie odezwała się do nikogo, pozdrawiając sąsiadów jedynie skinieniem ręki, zbliżyła się do swojego domu. Tu przededrzwiami stała gromadka mężczyzn rozmawiających z sobą, parobcy zajmowali się objuczonemi końmi, contrabandieri przychodzili i odchodzili. Gdy postrzegli obcych ludzi, uciszyli się wszyscy. Odstąpili na stronę, puszczając wchodzące towarzystwo. Fenice zamieniła kilka słów z Niną w dużej izbie, i otworzyła potem drzwi od swojej komory.

Przy zapadającym zmroku widać było rannego wyciągniętego na łóżku, obok niego przykucnąwszy na ziemi, czuwała zgrzybiała staruszka z Treppi.

— Jak się ma chory, Chiaruccia? — zapytała Fenice.

— Nieźle, dzięki Madonnie — odrzekła stara, bystro rzuciwszy spojrzenie na panów, którzy weszli za dziewczyną.

Filippo ocknął się z uśpienia, i blada twarz jego nagle się zaczerwieniła.

— Czy to ty jesteś? — zapytał.

— Tak, i przyprowadzam pana, z którym mieliście walkę odbyć, aby się sam przekonał iż przybyć nie mogliście. Przybył także chirurg.

Zamglone oko leżącego przesunęło się zwolna po czterech obcych twarzach.

— Nie ma go pomiędzy niemi — rzekł. — Nie znam żadnego z tych panów.

Gdy to powiedział, i znów oczy chciał zamknąć, wystąpił przewodniczący z pomiędzy trzech i rzekł:

— Ależ to dosyć, że was znają signor Filippo Mannini. Mieliśmy rozkaz czekać na was i przyaresztować. Przejęto wasze listy, z których pokazuje się, że przybywając do Toskanii, mieliście zamiar nie tylko odbyć pojedynek, lecz także pozawiązywać pewne stosunki, któreby poparły wasze stronnictwo w Bolonii. Jestem agentem policyjnym, a oto moje instrukcye.

Wyjął z kieszeni jakiś papier i trzymał go przed twarzą Filippa. Ten osłupiałemi patrzał na niego oczami, jakby z tego wszystkiego nic nie pojmował i znów popadł w senne otumanienie.

— Zrewiduj rany, panie doktorze — zwróciwszy się do lekarza, rzekł agent policyjny. Jeśli tylko stan tego pana na to pozwala, musimy go bezwłocznie tam odstawić. Widziałem konie na podwórzu. Dwa naraz załatwimy interesa, gdy je zabierzemy jako objuczone przemycanemi towarami. Dobrze to wiedzieć, co-to za ludzie przebywają w Treppi, przyda się to zawsze.

Gdy to mówił, a lekarz zbliżył się do Filippo, Fenice znikła z komory. Stara Chiaruccia mamrocząc do siebie, siedziała spokojnie. Z podwórza dolatywały jakieś głosy i pełna niepokoju wrzawa gromadzących się ludzi; w otworze okiennym ukazało się kilka twarzy, które zaraz znikły.

— Być może — odezwał się chirurg — iż dałoby się go odstawić, ponieważ ściśle i podwójnie obandażowano go. Wprawdzie, prędzejby się wyleczył, gdyby go tu zostawić w spokoju, pod opieką tej starej czarownicy, która swemi ziołami od ran zawstydziłaby najuczeńszego lekarza. W drodze gorączka może zagrozić jego życiu, dla tego nie chcę brać na

siebie żadnej odpowiedzialności, panie agencie.

— To rzecz zbyteczna — odrzekł tenże. — Jak go się pozbędziemy, nie ma co się zastanawiać. Pokładźcie mu swoje opaski, jak można najsilniej, aby niczego nie zaniedbać, a potem naprzód. Księżycową mamy noc, i weźmiemy chłopaka na przewodnika. Idźcie tym czasem, Molza, i zabierzcie konie.

Jeden ze zbirów otrzymawszy ten rozkaz, szybko otworzył drzwi od komory i chciał wyjść, lecz niespodziewany widok powstrzymał go, stanął niby skamieniały. Oboczna izba przepełniona była ludźmi ze wsi, a na ich czele stało dwóch kontrabandzistów. Fenice rozmawiała jeszcze z jednym z nich, gdy drzwi się otworzyły. Teraz stanęła w progu komory i rzekła ze znaczącym naciskiem.

— Teraz signori opuścicie bezwłocznie komorę, ale sami bez rannego, w przeciwnym razie nie ujrzycie więcej Pistoi. W tym domu nigdy krew nie była przelaną od czasu jak w nim jest panią Fenice Cattaneo, i mam nadzieję, że Madonna uchroni go i nadal od podobnej zgrozy. Nie probujcie nawet tu wracać w większej liczbie. Macie zapewne jeszcze w pamięci to miejsce, gdzie pojedynczo się wchodzi po spadzistych schodach w skale. Dziecko nawet może wzbronić tego przejścia, niech tylko z góry potoczy kamieniem, a dosyć ich tam leży. Postawimy tam straż, dopóki ten pan nie wyjdzie z niebezpieczeństwa. A teraz odejdźcie i wychwalajcie się ze swojego bohaterskiego czynu, żeście oszukali wiejską dziewczynę i chcieli zamordować rannego człowieka.

Twarze zbirów coraz bardziej bladły, nastąpiła cisza po ostatnich słowach dziewczyny. Potem, jakby na komendę, wszyscy trzej wydobyli szybko ukryte po kieszeniach pistolety, i przewodniczący agent z zimną na pozór krwią rzekł:

— Przychodzimy tu z rozkazu, jeśli go sami nie szanujecie, to dlaczegoż przeszkadzacie innym, aby go spełnili? Sześciu z was życiem to przypłaci, jeśli ośmielicie się stawiać nam opór.

Powstał szmer wśród zgromadzonych.

— Uspokójcie się przyjaciele! — zawołała energiczna dziewczyna. Nie zdobędą się na tyle odwagi, bo wiedzą, że każdy do któregoby strzelili, przyprawiłby mordercę o śmierć sześciokrotną. Wy mówicie, jak głupiec — odwróciła się do agenta. Strach, który osiadł wam na czołach, rozsądniej przemawia. Uczynicie, co on wam radzi. Droga otwarta, signori!

Cofnęła się i wskazała ręką drzwi domu. Będący w komorze, trochę poszeptali między sobą, i z nadrobioną miną wyszli, krocząc pomiędzy wzburzonym tłumem, który coraz głośniejsze przekleństwa posyłał im na drogę. Lekarz wahał się, czy mu wypada udać się za niemi, lecz na rozkazujące skinienie dziewczyny pospiesznie złączył się z towarzyszami.

Na całą tę scenę, chory na wpół się podniosły spoglądał dużemi oczami. Teraz znów do niego zbliżyła się stara i poprawiła poduszki.

— Spokojnie leżeć, mój synu — rzekła. Minęło niebezpieczeństwo. Śpij, śpij, biedny synku! stara Chiaruccia czuwa przy tobie. Żebyście i nadal byli bezpieczni, postara się nasza Fenice, godne zazdrości dziecko! Śpijcie, śpijcie.

I zanuciła mu jakąś monotonną piosnkę jakby dla uśpienia dziecka.

Usnął, a sen jego plątał się z imieniem Feniczy.

Przez dziesięć dni przybywał Filippo w górach, pielęgnowany przez staruszkę. W nocy spał wybornie, a w dzień siedząc przed drzwiami używał świeżego powietrza i samotności. Jak tylko mógł pisać, wyprawił z listem posłańca do Bolonii, i zaraz nazajutrz otrzymał odpowiedź; czy była ona pomyślna czy niepomyślna, trudno to było wyczytać z jego bladej twarzy. Rozmawiał tylko z doglądającą go staruszką i z dziećmi wioskowemi, więcej z nikim; Fenicę widywał tylko wieczorami, gdy przy kominie wydawała rozkazy. Ze wschodem słońca wychodziła zawsze z domu, i przez cały dzień przebywała w górach. Niczego więcej dowiedzieć się nie mógł z przypadkiem posłyszanej rozmowy. A nawet gdy Fenice była w domu, to nigdy nie było sposobności pomówienia z nią. Tymczasem w całem swem postępowaniu nie zwracała uwagi na jego obecność i zdawało się, że pędzi życie po dawnemu. Wszelako twarz jej stała się jakby kamienną, a oczy blask utraciły.

Gdy pewnego dnia Filippo, zwabiony prześliczną pogodą, trochę dalej jak zwykle oddalił się od domu, i po raz pierwszy uczuwszy nowe siły w sobie, wstąpił na przyległą wyżynę, przeraził się, gdy pochyliwszy się nad skałą, ujrzał Fenice siedzącą na mchu obok źródła. Miała w ręku kądziel i wrzeciono, i przędąc zdawała się być głęboko zamyśloną. Posłyszawszy kroki Filippa, odwróciła się, lecz nie wyrzekła i słowa, tylko wyraz jej twarzy nagle się zmienił. Zabrała swoje przybory, podniosła się szybko, i pomimo wołania Filippa znikła mu z oczu.

Nazajutrz z rana po owem spotkaniu podniósł się, i znów pierwsza myśl ciągnęła go do niej, gdy otworzyły się drzwi komory i dziewczyna spokojnie weszła. Stanęła w progu, i rozkazująco skinęła nań ręką, gdy odstąpiwszy od okna, chciał się do niej zbliżyć.

— Jesteście wyleczeni — rzekła zimno. — Mówiłam ze starą. Sądzi ona, że macie dość siły, aby konno puścić się w drogę, podróżując we dnie z małemi przestankami. Jutro z rana opuścicie Treppi, i nigdy tu nie powrócicie. Tego przyrzeczenia od was wymagam.

— Przyrzekam, Fenice, ale pod jednym warunkiem.

Ona milczała.

— Że udasz się ze mną, Fenice! — mówił to z wielkiem, niepowstrzymanem wzruszeniem.

Posępny gniew mignął w jej źrenicach. Powstrzymała się jednak i rzekła, uchwyciwszy się klamki.

— Czemże na to szyderstwo zasłużyłam? Przyrzeczcie mi bezwarunkowo. Spodziewam się tego po waszym honorze, signor.

— Chcesz-że mnie teraz odepchnąć, Fenice, gdyś mi zalała napoju miłosnego aż do samych kości i na zawsze przywiązała do siebie.

Spokojnie wstrząsnęła głową.

— Nie masz żadnego czaru pomiędzy nami — rzekła ponuro. Wyleliście krew wprzód nim napój mógł podziałać... urok zniknął. Nie mówmy już o tem, powiedzcie tylko, że odjedziecie. Koń i przewodnik będą w pogotowiu, udajcie się gdzie chcecie.

— Jeśli nie ma owego uroku, który mnie wiąże do ciebie dziewczyno, to musi być inny o którym sama nie wiesz. Tak mi Boże dopomóż....

— Zamilczcie proszę — przerwała mu smutnie ściągnąwszy usta. Jestem głucha na takie słowa, jakie chcieliście wyrzec. Jeśli sądzicie, żeście mi co winni, i litujecie się nademną, to oddalcie się, a przez to samo rachunek nasz się wyrówna. Sądzicie, że ta moja biedna głowa niczego nauczyć się nie potrafi. Wiem teraz, że niczem sobie nie można okupić mężczyzny, a tem mniej tak nędznemi zasługami jak siedmioletnie wyczekiwanie, które samo przez się nic nie znaczy, chyba przed obliczem Boga... Nie myślcie, iż czynicie mnie nieszczęśliwą. Uleczyliście mnie! Dzięki wam za to, tylko się oddalcie.

— Powiedz mi na Boga! — zawołał wzruszony, zbliżywszy się do niej, — tom cię także wyleczył z twojej miłości.

— Nie, — odrzekła bez wahania. — Czego pytacie się o nią? Ona jest moją. Nie macie żadnego prawa, żadnej władzy nad nią. Odejdźcie...

Cofnęła się za próg.

W tejże chwili on padł na kamienie, rzucił się jej do nóg i ściskał kolana.

— Jeśli to prawda, co mówisz — zawołał z uczuciem najwyższej boleści — to ocal mnie, weź mnie sobie, weź.... albo głowa ta, którą tylko cud dotąd zachował rozleci się w kawały, wraz z tem sercem, które chcesz odrzucić. Świat przedemną pusty, życie moje jest łupem nienawiści, stara i nowa ojczyzna moja wypędziły mnie, po cóż mi żyć, jeśli mam jeszcze i ciebie utracić!

I spojrzał na nią i ujrzał z przymkniętych oczu tryskające łzy... Twarz jej była jeszcze nieruchoma, westchnęła głęboko, otworzyła oczy, usta jej poruszały się, nie wydając głosu; na raz buchnęło w niej życie. Schyliła się do niego, podniosła swemi silnemi rękami... Jesteś moim — rzekła drżąc cała. — To i ja twoją zostanę!......

Gdy nazajutrz weszło słońce, ujrzało młodą parę udającą się w drogę do Genui, gdzie Filippo, unikając prześladowań swoich wrogów, schronić się postanowił. Wysoki blady mężczyzna siedział na spokojnym koniu; narzeczona prowadziła go za cugle. Z prawej i lewej strony ciągnęły się wyżyny i przepaści pięknych Apenin, śród przezroczystego powietrza jesieni. Orły krążyły nad parowami, zdala połyskiwało morze. Spokojna i świetna jak to morze ukazywała się przyszłość naszym podróżnym.

KONIEC.

DZIENNIKARSTWO W ANGLII.

(Podług dzieła Granta)

przez

E. Grossa.

(Dalszy ciąg).

Każda gazeta obok znacznej liczby reporterów, utrzymuje większą jeszcze liczbę korespondentów, podzielonych znowu na *zwykłych* t. j. mających stałe zamieszkanie w danej miejscowości — i *wędrownych* czyli specyalnych. Ostatni w miarę potrzeby przejeżdżają z miejsca na miejse i opisują ważniejsze tam zdarzenia. Do czasu rewolucyi francuzkiej gazety londyńskie miały swoich stałych korespondentów tylko w Paryżu, Madrycie i Lizbonie, dziś mają ich nie tylko we wszystkich znaczniejszych miastach Anglii, nie tylko w całej Europie, Ameryce północnej Indyach wschodnich, ale w Australii nawet. Ci korespondenci nie tylko ważniejsze wydarzenia ale nawet pogłoski obowiązani są natychmiast komunikować redakcyom w korespondencyach, a w szczególnych wypadkach drogą telegraficzną.

W razie rewolucyi obowiązkiem jest specyalnego korespondenta udawać się na miejsce, gdzie szczególniej rozwinęło się powstanie; w czasie regularnej wojny postępować za armią czynną i składać gazecie codzienne sprawozdania o stanie wypadków wojennych. Rzecz prosta że życie takiego specyalnego korespondenta, podczas wojny lub rewolucyi pełne jest wydarzeń i narażone na ciągłe niebezpieczeństwa, jak to miało miejsce podczas wojny krymskiej 1854 r. i ostatniej wojny prusko-francuskiej. Chcąc być bowiem dobrym korespondentem, nie można się oszczędzać, trzeba być owszem ciągle obecnym na placu, trzeba się mieszać we wszystkie jak największe niebezpieczeństwa. I rzeczywiście specyalni korespondenci, podczas obu wspomnionych wojen z niesłychaną sumiennością wypełniali swe obowiązki, a odwaga i męztwo ich, były nieraz przedmiotem podziwu oficerów armij walczących. Fraszki to jednak w porównaniu z cierpieniami jakich pracownicy ci doznawali w czasie wojny amerykańskiej, trwającej jak wiadomo pięć razy dłużej od francuzkiej i prowadzonej z zaciętością niezwykłą. New-York-Herald, przy końcu wojny podała ciekawe szczegóły o poniesionych przez nią stratach; jeden z korespondentów poległ, trzech w skutku niewygód umarło, jeden otrzymał ran siedm, a jeden był 14 miesięcy w niewoli. Redakcya wysyłając takiego korespondenta płaci mu podwójną pensyą, oprócz tego wszystkie wydatki przyjmuje na siebie. Wydatki podobne dochodzą do znacznych ma się rozumieć rozmiarów; szczególnie podczas wojny gdy korespondenci obowiązani nie liczyć się z żadnemi wydatkami i przedsiebrać wszystko, co się może przyczynić do skuteczniejszego wywiązania się z obowiązków. Grant wspomina, że każda z gazet londyńskich, podczas wojny prusko-francuskiej wydała na swych specyalnych korespondentów najmniej po 10,000 fst. (70,000 rs), a Times przeszło trzy razy tyle. New-York-Herald wydała na korespondentów, podczas wojny amerykańskiej, trwającej 4 lata 120,000 fst. t. j. po 30,000 rocznie. Jedna wiadomość o wzięciu Nowego-Orleanu kosztowała ją 260 £.

Pod wyrazem korespondent wojenny niech czytelnik nie wyobraża sobie jakiegoś specyalisty w wojskowem rzemiośle. Pracowników dostarczają po większej części „gentelmani galeryi“ a jak doświadczenie pokazało, spełniają on służbę swą ze znajomością rzeczy, godną największego podziwu. Znany Dżon Rossel, który podczas ostatniej wojny francuskiej, odgrywał tak ważną rolę, był przedtem niczem więcej jak skromnym reporterem, który w przeciągu lat 14 zapisywał parlamentarne obrady, nie zwracał na siebie niczyjej uwagi, i nawet nie był znanym w świecie literackim. Podczas krymskiej kampanii redakcya Timesa wysłała go na miejsce wojny, naznaczywszy mu wysoką pensyą i zobowiązawszy nie szczędzić wydatków. Skutki są wiadome: po dwunastu miesiącach Dżon Rossel, stał się znakomitością europejską, pozyskał sobie w świecie literackim w Anglii reputacyę, jaką prócz niego obecnie jeden tylko posiadał Dikkens.

Prócz stałych współpracowników są przy angielskich gazetach korespondenci *przypadkowi*, jak np. penny-a-liner, dostarczający codzienne wiadomości o wydarzeniach drobnych i piszący rozmaite artykuły do gazet.

Penny-a-liner jak i wszyscy przypadkowi korespondenci, pobierają po 2½ pensa od wiersza; lecz artykuły w kwestyach i wypadkach bieżących, jeżeli zwłaszcza dadzą się pomieścić jako artykuły wstępne, hojnie bardzo bywają wynagradzane. Szczególnie Times jak we wszystkiem tak i tutaj nie szczędzi pieniędzy, za artykuły które zrobiły wrażenie, płaci niekiedy po 20 Łst. (140 rubli) od szpalty, chociażby autor nie był myślał o wynagrodzeniu i chciażby mu najzupełniej wystarczył zaszczyt, że praca jego w tak wpływowem piśmie została pomieszczoną. Redakcya Timesa ma zasadę nie umieszczać artykułów niepłatnych, owszem zawsze hojnie wynagradza współpracowników. Ta zasada przechowuje się tu tradycyjnie. Oprócz tego stałym współpracownikom, którzy w skutek podeszłego wieku lub wypadku losowego stali się niezdolnemi do pracy, płaci dożywotnią pensyą. Ale też pracownik przekonany o zabezpieczonej przyszłości, pracuje z podwójną energią i produkcyjniej dla pisma.

Mechaniczna strona dziennikarstwa również szerokich rozmiarów dochodzi, dość przytoczyć że sam Times zatrudnia 400 robotników. Przy drukowaniu 10 osób jest zajętych jedynie ustawianiem stereotypowych tablic w maszynach drukarskich, 16 podpalaczy i inżynierów zajętych jest przy maszynach i kotłach, 6 ludzi podkłada papier na maszynę, 90 ludzi pracuje na maszynach, a 7 po wydrukowaniu gazety, wydaje ją agentom, którzy znów dalej ją ekspedyują.

Nie łatwo doszło angielskie dziennikarstwo do dzisiejszego znaczenia i rozrostu. Wywalczało go sobie w ciągu półtory wieku, jak się wyraża Makoley, pojęciem swego posłannictwa, umiejętnem korzystaniem ze sprzyjających okoliczności, niezachwianem służeniem wyższym celom społeczeństwa i niezmordowaną pracą. Początek angielskiego dziennikarstwa można odnieść do pierwszej połowy XVII w. Odtąd to w przeciągu przeszło półtora wieku angielskie dziennikarstwo, stąpało po ciernistej drodze. Z jednej strony naród był nierozwinięty, nie czuł potrzeby czytania wiadomości politycznych lub społecznych, dla tego też w ówczesnych gazetach wychodzących raz na tydzień widzimy powiastki, legendy, lub też niekiedy przedruk jednego lub więcej rozdziałów z pisma świętego. Z drugiej strony dotykanie się jakichkolwiek kwestyj politycznych było niebezpiecznem, autora mogła spotkać kara śmierci, lub przynajmniej... cielesna. Ale i te kary zdawały się zbyt łagodnemi. Jeden z cenzorów Roger L'Estrang podczas panowania obu Stuartów podał wniosek w parlamencie, aby do tych kar dodać pręgierz, roboty w kopalniach, bicie, szubienicę i t. p. Parlament przyjął ten wniosek.

Za czasów Kromwela prasa nieco odetchnęła. Wkrótce jednak prześladowania rozpoczęły się na nowo, angielscy sędziowie uradzili, że tylko król ma prawo publikowania wiadomości politycznych. Znowu 1695 r. było wydane prawo uwalniające prasę od cenzury, pomimo to dziennikarstwo angielskie trzymało się ostrożnie, nie chcąc rozdraźnić rządu, a ten ze swej strony patrzał na nie przez palce, tem bardziej, że nie wiedział, jak by parlament rozstrzygnął pytanie o wolności dziennikarstwa? Takim sposobem swoboda dziennikarstwa zaczęła się powoli faktycznie utrwalać, a z czasem stała się prawem. Widzimy też, że odtąd w dziennikarstwie zaczyna się objawiać dążność utrwalenia się w społeczeństwie, stać się dla niego koniecznością, wziąć na siebie reprezentacyę i obronę jego interesów. Publikowanie wiadomości z sesyj parlamentarnych było surowo zabronionem przez parlament, lecz już w początkach XVIII w. dziennikarstwo angielskie zaczyna próbować, w jakiby sposób obejść ten zakaz. W 1715 r. ukazują się krótkie sprawozdania o debatach parlamentarnych w „Bryers Register,“ potem cokolwiek szczegółowiej w „London Magazine“ i „Gentlemans Magazine.“ Wydawca tej ostatniej gazety przekupieniem stróżów w parlamencie wyrobił sobie wstęp do obu izb. On i jego przyjaciele zakradali się w kąt i tam potajemnie robili krótkie notatki, stąd udawali się do najbliższego hotelu, dopełniali owe notatki i w taki sposób redagowali sprawozdania o mowach parlamentarnych. Publika zaczęła się żywo interesować temi wiadomościami, do tego stopnia, że redaktor Geatlemans Magazine, chcąc uniknąć odpowiedzialności, każden artykuł którego treścią były sprawozdania z debatów parlamentarnych, uprzedzał wzmianką, że wiadomość tę odebrał z bajecznego królestwa Liliputów.

Później zachodziły jeszcze drobne starcia między wydawcami gazet a parlamentem, dopiero 1769 r. dziennikarstwo odniosło stanowcze zwycięztwo; w tym roku mianowicie, gazeta „Public Advertiser“ zaczęła drukować listy niewiadomego autora tak zwane listy Juniusa, które zrobiły ogromne wrażenie i były czytane w całej Anglii. Za list do króla, redaktor

tego dziennika, Wudfal był oddany pod sąd, lecz to tylko przyczyniło się do większego rozpowszechnienia gazety. Od czasu ukazania się listu do króla, redakcya nie mogła zadosyć uczynić żądaniom coraz bardziej wzrastającej liczbie prenumeratów.

Angielskie dziennikarstwo przez pomieszczenie tych listów, pierwszy raz pokazało społeczeństwu w całym blasku swą rzeczywistą siłę i przeznaczenie. Przez te listy ideał dziennikarstwa tak się wysoko wzniósł w opinii publicznej, że pytanie, czy dziennikarstwo ma prawo komunikować sprawozdania z mów wygłaszanych w parlamencie—nie było już potrzebnem. Odtąd faktycznie dziennikarstwo zaczęło korzystać z tego prawa i korzysta zeń dotąd, chociaż do dnia dzisiejszego nie zostało jeszcze potwierdzonem przez władzę prawodawczą.

Po tak świetnych zwycięztwach, dziennikarstwo stanęło na niezmiernie silnych podstawach w przekonaniu angielskiego narodu i zajęło wysokie stanowisko w opinii publicznej. Krabbe, angielski poeta przeszłego stulecia, oprócz tego uczony, napisał 1785 roku wiersz satyryczno-polemiczny pod tytułem „Gazeta“ w którym w najciemniejszych barwach rysuje tę nową, jak się wyraża, plagę społeczną.

Powiada że zacząwszy od izby lordów, a skończywszy na warsztacie czy szynku wiejskim, wszędzie się to brzydactwo rozgościło. Nikt nie czyta książek, najlepsze utwory poetyczne leżą nie porozcinane, bo ogół czyta gazetę a ta jest klątwą dla poezyi. Ze sprawozdania z 1753 r. o cłach stemplowych, które się wówczas z gazet pobierały, widzimy, że na 6,186,336 mieszkańców w Anglii rozchodziło się rocznie 7,411,757 numerów różnych gazet i dzienników. Podczas ogólnej reakcyi w Anglii 1770 r. zwrócono szczególną uwagę i na dziennikarstwo, za czasów Jerzego zaczęły się nowe prześladowania, lecz bezskutecznie. Dla angielskiego społeczeństwa, dziennikarstwo stało się potrzebą konieczną. Przy końcu przeszłego stulecia powiększyła się ilość egzemplarzy wychodzących dzienników z 7 na 13 milionów; wówczas to można było pomyśleć o założeniu korporacyi reporterów, którzyby zapisywali dosłownie mowy parlamentarne. Dotąd sprawozdania z mów tych były niekompletne, niepodobieństwem było, aby jeden lub dwóch reporterów, których gazeta wysyłała, mogli zapamiętać i zapisać nawet $^1/_4$ części tego co się mówiło publicznie. Dopiero Perry, redaktor Morning Chronicle zaczął posyłać 4 reporterów, za przykładem jego poszły drugie gazety, Times posyłał 16 i t. d.

Z nastaniem XIX stulecia prześladowania dziennikarstwa zupełnie ustają, przeciwnie zyskuje ono sobie poważanie u rządu. Nic dziwnego; na czele jego od początku do połowy bieżącego stulecia stanął człowiek uczciwego, niezależnego i niezachwianego charakteru, niezmiernie energiczny, czynny, przedsiębierczy i znakomicie pojmujący wymagania dziennikarstwa. Mówimy tutaj o drugim wydawcy i właścicielu Timesa, Walterze synu, który objął zarząd i kierownictwo gazety. Wszystkie ulepszenia na polu dziennikarstwa, tak pod względem literackim, ekonomicznym jak technicznym, winny początek Walterowi. On pierwszy potrafił stanąć na stanowisku niepodległem, on zostając w przyjaznych stosunkach ze światem urzędowym, postawił sobie za zadanie, nie być biernym sługą władzy ani też zaciętym jej wrogiem, być bezstronnym; ganić co zasługiwało na naganę—chwalić, co było godnem pochwały. Zachować taki stosunek było naówczas rzeczą niełatwą, z jednej strony panował Jerzy III niedawno jeszcze zacięty wróg dziennikarstwa, z drugiej byłto czas krańcowego ultra-konserwatyzmu w Anglii i jak wiadomo ministeryum ciągle się zmieniało. Rząd starał się wszelkiemi możliwemi sposobami przeciągnąć Waltera na swoję stronę, proponując mu wszelkie możliwe korzyści pod najrozmajtszemi formami, lecz był on nieugiętym, od swych zasad nie odstępował, i był niedostępnym dla wszelkich zewnętrznych wpływów.

Grant przytacza niektóre przykłady uczciwości i niezależności charakteru Waltera, podajemy następujący: Podczas ogólnej gorączki budowania dróg żelaznych w Anglii, gazety robiły majątki na reklamach i ogłoszeniach od towarzystw budowy dróg, które obiecywały akcyonaryuszom złote góry. Od 6-go września do 1-go stycznia 1845 r. gazeta Times za ogłoszenia dostała 50,000 fst. lecz tem bynajmniej nie została przekupioną, przeciwnie gdy gazety inne rozpisywały się o olbrzymich korzyściach, Times od pierwszego do ostatniego dnia gorączki nie przestawała ostrzegać publiczności przed zgubnymi skutkami jakie pociągną za sobą te afery. Przepowiednie Timesa jak wiadomo sprawdziły się, mnóstwo przedsiębierstw runęło, tysiące rodzin pozostało bez mienia. O ile inne gazety straciły w opinii publicznej o tyle Times zyskała, za swój uczciwy głos podczas ogólnego zaślepienia i oszustwa.

d. c. n.

KILKA SŁÓW ODPOWIEDZI

na artykuł

„Mistycy w Opiekunie Domowym“

zamieszczony w **Przeglądzie Katolickim.**

W Numerze 6 „Przeglądu Katolickiego,“ znalazłem piorunujący artykuł przeciw mnie wymierzony, na który jako dotykający mego sumienia i cześci odpowiedzieć muszę.

Uczony fizyolog Charbonnier, którego Przegląd *„niejakim panem Charbonnierem“* nazywa, wystąpił niedawno z dziełem, w którem rozwinął teoryę objaśniającą przyczynę mistycyzmu i towarzyszących mu zjawisk. O tej teoryi napisałem sprawozdanie w „Opiekunie Domowym,“ jako o przedmiocie zajmującym wszystkie pisma naukowe za granicą.

Ponieważ Charbonnier zjawiska wizyj, hallucynacyj i t. p. tłómaczy za pomocą przyczyn naturalnych, a ja ośmieliłem się poznajomić ogół z jego teoryą opartą na doświadczeniach, „Przegląd, więc, Katolicki“ w pobożnem uniesieniu zmiażdżył na proch Charbonniera, a mnie zarzucił *że nie wierzę w naukę Kościoła*, że walczę *przeciwko nauce chrześcijańskiej* i t. p.

Wdawać się w polemikę naukową z „Przeglądem“ nie myśle — byłaby to walka z wiatrakami — nawoływanie puszczyka ku światłu. Służy mi jednak prawo zapytania autora fanatycznego artykułu w „Przeglądzie,“ *gdzie to i kiedy występywałem przeciw nauce Chrystusa i z jakiego tytułu śmie mnie zarzucać herezyą religijną i naukową?*

Procedura polemiczna w „Przeglądzie katolickim“ oddawna oburzała i oburza ludzi uczciwych — trąci ona mocno używaną niegdyś przez inkwizytorów *świętego Officium.* Zapomina jednak szanowne pismo, że czasy Torquemady minęły, że za przypisywanie komuś idei jakich nie wyznawał, za potwarze rzucane publicznie, można być odpowiedzialnym przed kratkami sądowemi.

Wolno było „Przeglądowi“ oburzać się na pogląd Charbonniera, wyklinać go za to że nie wierzy *w unoszenie się w powietrze ludzi modlących się*, a może nawet samego autora artykułu, (jak wierzy „Przegląd“ w filipice przeciw mnie wymierzonej), ale to jeszcze nie upoważniało „Przeglądu“ do spotwarzania mnie i drukowania paszkwilów. Protestując przeciw temu nadużyciu ze strony „Przeglądu Katolickiego,“ powołuję się na mój artykuł: *Choroby mistyków* zamieszczony w Nr. 1 „Opiekuna Domowego,“ z którego każdy przekonać się może, jak złą wiarą i niesumiennością, nacechowanem jest wystąpienie „Przeglądu.“

Wincenty Niewiadomski.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

IX.

W niedzielę d. 27 z. m., odbyło się zebranie ogólne członków towarzystwa muzycznego, na którem komitet przedstawił trzy wnioski:

1. O zmniejszenie liczby wieczorów piątkowych.

2. O wydawanie „Gazety muzycznej.“

3. O zebranie funduszu na budowę własnego gmachu.

Co do 1-go, widocznie członkom tak bardzo o te wieczory nie chodziło, kiedy bez dyskusyi rzecz przeszła.

Wniosek 2-gi, silnie przez jednego z członków był opponowany, a to z powodu zapatrywania się na brak sił żywotnych, na jakie pisma nasze specyalne chorują, jak np. przytoczona przez interlokutora, zapewne kompetentnego, „Gazeta Sądowa.“ Wniosek komitetu jednak poparty jednomyślnie prawie przez członków, przeszedł. Wkrótce więc ukaże się „Gazeta muzyczna.“ Z naszej strony zwracamy uwagę czy nielepiej byłoby złączyć się z towarzystwem sztuk pięknych i wydawać razem wspólnemi siłami pismo pod tytułem: „Gazeta artystyczna“ i w niem objąć muzykę, malarstwo, rzeźbę i t. d., z odpowied-

niemi dodatkami nut i reprodukcyj — co wszystko razem stanowićby mogło nadzwyczaj zajmujący program, a przy ożywieniu dowcipnym felietonem, jako interes nawet doskonale się przedstawia.

Wniosek 3-ci upadł, a że o zmarłych nie godzi się źle mówić, więc dajemy mu pokój, byle tylko komitet także uważał go jako pogrzebany, a przynajmniej na bardzo długi czas.

W billansie towarzystwa komitet pochwalił się z oszczędnością rs. 26, zyskaną na „prenumeracie."

Towarzystwo złożone z wyboru intelligencyi, towarzystwo mające zamiar wystąpienia z wydawnictwem własnego pisma, daje bardzo zły przykład oszczędności, szczególniej w obec wzrastającej liczby pism w kraju.

Przyznać winniśmy komitetowi towarzystwa muzycznego, że przyzwoicie i z godnością reprezentuje towarzystwo, pomimo że przewodniczący pan Higersberger wiele musiał dołożyć starań, ażeby nieprzyzwyczajonych do parlamentarnego, że się tak wyrażę, występowania członków, utrzymać w granicach dyskussyi, która niekiedy w sprzeczkę przechodzić zaczynała. Panu zaś Nagórnemu szczere składamy dzięki, że jasnym i na ekonomicznych danych opartem przemowieniem, potrafił powstrzymać towarzystwo od zrobienia błędu finansowego, z którego zapewnie nie prędko mogłoby się wyleczyć. Zwrócimy także uwagę członków, że posiadając tak potężny środek okazania zbiorowego hołdu jakim jest nominowanie członków honorowych, zapomniała używać go częściej niż dotąd, pomimo że posiadamy muzyków, którym się to z prawa należy, jak np. pan Henryk Wieniawski. O ile wiemy, oddzielny wniosek komitetu w tych dniach ma być co do tego przedstawiony, a ten poprzeć gorąco, uważamy za miły obowiązek.

* * *

Odebrany świeżo list od naszego korespondenta z Radomia zasługuje na uwagę z powodu bolesnych narzekań jakiemi jest przepełniony. „Z wyłączeniem Siedlec, które tylko palić się umieją, Radom bezwarunkowo stoi pod względem umysłowym najniżej ze wszystkich miast gubernialnych, co przypisać należy niezmiernej apatyi, jaką natura obdarzyła radomianki i silnemu pociągowi do preferansa i sybirki [1]), jakim odznaczają się radomianie. Najzupełniejszy brak wiary we wszystko co miejscowe, uderza na każdym kroku. Najmniejsza nowość z nieufnością jest przyjmowana. „Ale panie u nas to się nie uda," jest stereotypową odpowiedzią na każdy postępowy projekt. I czy uwierzycie że rzeczywiście nic się nie udaje?.. Pismo na pierwszem numerze skonało bez zmartwychwstania, i żadne starania do życia przywrócić go nie mogą. Od trzech lat już podany projekt szkoły handlowej poszedł *ad acta*, bo żydzi pieniędzy nie chcieli dać. Ustawę towarzystwa zaliczkowo-wkładowego radomskiego naprzód zmodyfikowano do jednego tylko powiatu, następne zaś razem z odpowiedniemi w niej zmianami wsadzono pod sukno, gdzie do dzisiejszego dnia spoczywa w błogim śnie. Za to nie macie pojęcia jak żarliwie obdzierają nas miejscowi lichwiarze! Na własne oczy widziałem weksel na 80 rubli, podpisany przez siedmiu urzędników, z procentem po 7% na miesiąc, z góry płatnym. Od mniejszych sum tylko na zastaw kosztowności pożyczanych, biorą 10% na miesiąc. Pomimo tego w 1867 roku, zebrany fundusz z koncertu na założenie kasy pożyczkowej dla rzemieślników, oddany prawda w bardzo uczciwe ręce, i nie zginie w nich z pewnością, ale dla projektowanej instytucyi zamyka drogę do otworzenia się. Miano nam także urządzić straż ogniową pół ochotniczą. Na członków czynnych, t.j. tych którzy mieli ratować palące się domy, wynosić z płomienia ocalonych ludzi i sprzęty, pompować wodę, narażając się na spadnięcie belki, mężny Izrael zapisał się co do jednego, uwalniając się tym sposobem od wszelkich składek niezbędnych na utrzymanie straży. Widocznie jednak ojcowie miasta nie przywiązywali zbyt wielkiej wiary do zapału i odwagi oszczędnych bohaterów. Zapakowali cały projekt na spód kufra w którym są zachowane rozmaite osobliwości miejskie a natomiast kupiono od pana Trecera za kilkaset rubli, bardzo piękną sikawkę na dwóch kółkach. Żeby to pan Trecer sprzedał nam odrazu i ze cztery studnie wody toby doskonale sikawka funkcyonować mogła, inaczej zaś szczególniej przy rozsypujących się beczkach i najzupełniejszym braku studni publicznych, których na całe miasto jest trzy czy cztery, przy najlepszych nawet chęciach, sikawka w razie pożaru jako miech tylko służyć będzie mogła.

Z tą wodą wieczny ambaras. W studniach jej nie ma, to za to w piwnicy pełno. Kanalizacya wyciągnęła z miasta ze sto tysięcy rubli i literalnie posłużyła tylko do osuszenia żydowskiej części miasta, o przykanalikach zaś mających zabierać nieczystości z domów, przy budowie najzupełniej zapomniano, to też wydział ten jaśnieje nieporządkiem jak gdyby o kanalizacyi nikt nie słyszał. Szpital świętego Kaźmierza jest tak nędznie uposażony, że nie ma zupełnie funduszu na utrzymanie siostr miłosierdzia, bez których każdy dom zdrowia staje się raczej domem męczarni.

Nie sądź że zapatruję się na wszystko ze złośliwością warszawiaka na obcy grunt przesadzonego. Zresztą z całego listu mojego dowiesz się tylko o tem czego w Radomiu nie ma, za kilka tygodni napiszę ci o tem co jest i co rzeczywiście godnego uwagi w naszem miasteczku spostrzedz można."

(Pr. red.) Szczerze pragnęlibyśmy, ażeby kto z miejscowych lepiej poinformowanych, raczył nas oświecić, czy ta jeremiada jest rzeczywiście prawdziwą i do jakiego stopnia.

* * *

Garbaty pokochał śliczną ale ubogą dziewczynę, lecz ona zajęła się młodym malarzem, który skrycie oddał jej serce. Szlachetne dusze dwóch rywali walczyły na drodze poświęcenia dla kobiety kochanej.

Garbaty nareszcie przemógł siebie i okoliczności i pchnął malarza w objęcia dziewczyny, za karę obdarzając jeszcze szczęśliwą i piękną parę, bardzo przyzwoitym majątkiem. Na wszystko to spogląda ze łzami radości stary ojciec malarza, nauczyciel z prowincyi, błogosławiąc dzieciom i ich dobroczyńcy.

Sądziliście że to „Garbaty" Korzeniowskiego tak heroicznie się znalazł.

Nie, to treść jednej z najnowszych komedyj..

BIBLIOTECZKA DOMOWA.

O różnej wartości buraków w cukrownictwie i ich uprawie, tudzież o zużytkowaniu materyj nawozowych atmosferycznych, opartem na nowej metodzie uprawy ziemi, przez Józefa Boczyńskiego. Warszawa 1876 r.

Pod powyższym tytułem p. Boczyński wydał broszurę, w której rozwija tyle poglądów nowych na gospodarstwo rolne, burzących dotychczasowe zasady przyjęte przez agronomów, że już z tego samego względu, wypada mi zapoznać czytelnika z jego teoryą i projektowanemi reformami w rolnictwie.

Praca p. Boczyńskiego rozpada się na dwa działy. W pierwszym podaje projekt kontraktowania buraków na podstawie ich cukrodajności, w drugim zajmuje się uprawą buraków, rozbiera warunki gleby wpływające na rozwój rośliny, przyczem tak uprawę roślin okopowych jak i innych, opiera na teoryi nawozów atmosferycznych, której jest gorącym apostołem.

Przedewszystkiem winienem obznajmić rolników z głównem jądrem poglądu p. Boczyńskiego, a mianowicie z jego teoryą nawozów atmosferycznych.

Według autora, różnica zachodząca między temperaturą atmosfery a właściwą warstwom ziemnym, do głębokości dwóch łokci, dochodzi w końcu maja do 12 stopni i więcej, i różnica ta utrzymuje się prawie do samej jesieni. Stąd wyprowadza pan Boczyński wniosek, że powietrze stykając się z tak zimnemi warstwami ziemi, przy odpowiedniej ich porowatości, osadza w tej głębokości rosę, jaką jest nasyconem, a to podobnie jak ją osadza na butelce przyniesionej z piwnicy do pokoju. Owóż ta rosa powietrza, zasobną ma być wielce według autora, we wszelkie pierwiastki mineralne nawozowe do życia roślinie potrzebne, a a tem samem, byleby ziemia w dostatecznym stopniu przepuszczała to powietrze, wydawać będzie plony bogate, *bez potrzeby posiłkowania się nawozami dotąd używanemi, w celu użyznienia gruntu.*

Autor przekonanym jest *niezachwianie*, że w atmosferze, mieści się tak bogaty zbiornik wszelkich materyj mineralnych, iż troszczyć się o wszelkie inne nawozy jest rzeczą zbyteczną. Para wodna, kwas węglany (a nie węglowy jak w tekscie autor podaje), wodór, amoniak, wodór siarkowy, związki fosforyczne, zarodki organicznych materyj, pyły kwiatowe

---

[1]) Rodzaj wista niedolicytowanego z powodu zbyt wielkiej trudności gry.

i rozmaitych soli, oprócz azotu i tlenu; wszystko to znajduje się w atmosferze, powiada pan Boczyński, i w takiej obfitości, że nawozy chemiczne Ville'a i Liebiga, są całkiem roli niepotrzebne.

Skąd atmosfera czerpie tak wielką ilość materyj pożywnych dla roślin? Węzeł ten rozwięzuje autor jak Aleksander, jednem cięciem miecza. Według niego, atmosfera jedną część tych materyj pożywnych bierze z gnicia istot żyjących (?) (zapewne z gnicia zwłok jestestw organicznych), drugą zaś część, z materyj kosmicznych tworzących meteory (nie meteory a meteoryty) [1]) i bolidy, spadające z przestworza na ziemię. Z tej samej materyi kosmicznej powstać miały według autora, rudy żelazne, torfowe i gliniaste. [2])

W skutek takiego poglądu autora, potępia on teorye oparte na doświadczeniach Ville'a i Liebiga, nie wspominając już o Thaerze, gdyż jeżeli atmosfera *wyłącznie* zaopatruje ziemię we wszelkie pierwiastki pożywne, to pocóż rolnik ma nawozić grunt mierzwą, dostarczać mu fosforanów i azotanów w postaci kompostów.

Dostateczną tu będzie głęboka orka, a posiłkując się tym mechanizmem, rolnik według poglądu p. Boczyńskiego, powinien używać brony, kultywatora i skrobacza, a wyrzucić pług jako narzędzie nie tylko nieużyteczne ale co gorsza, szkodliwe. Dla czego pług nazywa autor narzędziem szkodliwem, zaraz zobaczymy. Według niego, warstwa spodnia ziemi zwana *podłożem*, nie powinna być odwracana wierzchem, gdyż warstwa wierzchnia najurodzajniejsza ginie dla roli. Ponieważ to odwracanie jest zadaniem pługa, ten więc jest działaczem najfatalniej wpływającym na produkcyę roli. Ze słownika rolniczego autor wymazuje na wieczyste czasy *płodozmian*, jako oparty na *falszywych zasadach*. Przyczem naturalnie dostaje Liebig rózgi, za swój podział roślin na trzy główne grupy, *krzemową*, *wapienną* i *potażową* i za cały swój system.

Odnośnie do buraków, autor podaje za zasadę aby kontraktowane były odpowiednio do stopnia ich cukrodajności, i w tym celu zaleca nie analizę chemiczną lub polaryzacyę, lecz zwrócenie uwagi na kształt buraków a mianowicie *workowaty*, *marchewkowaty* i *rzepowaty*, wykazując korzyści wynikające z pierwszego ustroju. Przyczem opierając się na prawie dziedziczności, pan Boczyński poczytuje to nasienie buraczane za najlepsze, które wydaje produkt najwięcej w cukier zasobny, a tym znowu produktem jest burak kształtu workowatego.

Według autora, kości zadawane ziemi służą za pokarm najpierw żyjątkom mikroskopowym tamże przebywającym, a zwłoki dopiero tych ostatnich mają, być pożywieniem roślin. Przyczem naturalnie przyjąć potrzeba, że owe żyjątka dostają się do ziemi z atmosfery, która tem samem spełnia tu, *sama wyłącznie*, odżywianie roli, to jest nasyca ją materyami pokarmowemi.

Oto jest główne rusztowanie teoryi p. Boczyńskiego, mającej rolnictwo polskie wprowadzić na nowe drogi i zapewnić mu nieocenione korzyści.

Rozpatrzmy się nieco w tych poglądach, aby przekonać się o ich wartości naukowej, i ocenić znaczenie hypotez, które autor chce zastosować w naszem rolnictwie, dla podniesienia urodzajności jego płodów. Według autora, temperatura ziemi do głębokości dwóch łokci, jest o 12 i więcej stopni niższą od powietrza utrzymującego się przy jej powierzchni. Owóż tak znacznej różnicy, nie wykazały dotąd, o ile mi wiadomo, żadne doświadczenia. Przypuśćmy jednak, że ta różnica w temperaturze istnieje rzeczywiście, czyż w takim razie, rosa atmosferyczna może w ziemi aż do dwóch łokci głębokości przenikać? Na to odpowiada nam prosta logika, że rosa tuż przy powierzchni ziemi skropli się, gdyż krople jej zawsze przy poziomie spotykamy, a tem samem, nie będzie mogła przedrzeć się nawet do sześciu cali głębokości. Przypuśćmy jeszcze, że i ten fakt w istocie ma miejsce; czyż w tej rosie mieścić się będą wszelkie materye mineralne nawozowe, zaopatrzyć mające ziemię w elementy pożywne? Ależ w takim razie, elementy te wykazałaby nam w kropli rosy analiza chemiczna, która jednak to tylko powiada, że w rosie 'prócz amoniaku i kwasu węglanego, żadne inne związki mineralne nieistnieją. Wszelako p. Boczyński poczytuje atmosferę za niewyczerpany zbiornik wszelkich ciał chemicznych, użyźniających ziemię. Nie ma żadnej wątpliwości, że amoniak, kwas węglany i materye organiczne, zapełniają naszę atmosferę, ale z drugiej strony związki te są tylko podrzędnemi, główną bowiem rolę odgrywa w powietrzni tlen i azot, stanowiące w niej nie związek chemiczny, lecz mieszaninę mechaniczną.

Znakomity fizyk angielski Tyndal, wydał dzieło, w którym rozbiera pyły atmosferyczne, z drugiej strony Pasteur, zajmował się gorliwie we Francyi badaniem grzybni mikroskopowych i w ogóle zarodków organicznych, pływających w powietrzu. W żadnym przecież z tych autorów, nie znajdujemy dowodu istnienia w powietrzu tak ogromnej masy tych szczątków organicznych, jak to p. Boczyński przyjmuje.

Według niego, nieprzebrane bogactwo owych nawozów atmosferycznych, pochodzi z gnicia materyj organicznych na powierzchni ziemi, oraz z materyj kosmicznych tworzących kamienie meteoryczne.—Ponieważ w tych zawsze mieści się żelazo i mnóstwo cząstek mineralnych, p. Boczyński przypuszcza, że one to wytworzyły w głębi ziemi rudy żelazne, i wcisnęły różne metale w torf i gliny. Obecność w łonie ziemi żył kruszcowych i rud metalodajnych, oddawna wyjaśniła nam geologia. Powstały one w skutek tworzenia się rozpadlin w skorupie ziemskiej w czasie jej wystygania, przyczem materye płynne we wnętrzu ziemi zawarte, wlewały się w te szczeliny, obdarzając ziemię szacownemi dla przemysłu rudami. Po cóż więc szukać przyczyny wytworu tych rud, aż w przestrzeniach kosmicznych, gdy bliżej jądro ziemi było naturalną ich dostarczycielką? Planeta nasza była pierwotnie mgławicą, z kuli gazowej przeszła w płynną a następnie w stałą, i krzepnąc pochłonęła z przestworu to wszystko, co mogła i czego potrzebowała. Jeżeli więc w następnych swych fazach rozwojowych, wytworzyła całość bogatą w składniki mineralne, to zapewne one wystarczają dziś jej potrzebom, a tem samem ziemia, nie potrzebuje ich ściągać znowu aż z przestrzeni planetarnych. Przed kilku laty Thompson, fizyk angielski, podobnie jak p. Boczyński, wystąpił z teoryą wielkiego zbiornika mineralnego, istniejącego w atmosferze, i przypisywał mu tworzenie się aerolitów, hypoteza przecież jego, nie pozyskała i nie mogła pozyskać obywatelstwa w nauce.

Opierając się na analizie chemicznej objaśniającej nam skład powietrza i stosunki zachodzące między jego składnikami, niepodobna nam zgodzić się na pogląd p. Boczyńskiego. Atmosfera dostarcza roślinie kwasu węglanego i amoniaku, ale nic więcej. Kwas węglany czerpią rośliny za pomocą liści, a *korzeniami* materye pożywne z ziemi; gdyby i te pokarmy przyjmowały rośliny z powietrza, to korzenie do głębi gruntu sięgające, nie miałyby racyi bytu. Stąd rażącemi wydają się nam apostrofy autora rzucane przeciw chemikom, *nos w retortę wyłącznie wtykającym, i przeciw rolnikom, wierzącym w nawóz, pług i płodozmian.*

„Bez krzemionki, powiada ks: Salm-Horshmar, znakomity agronom, owies nie może nigdy wykształcić łodygi silnej—bez wapna wkrótce on obumiera—bez sody i potażu dochodzi zaledwie czterech cali wysokości—bez gliny będzie wątłym—bez fosforu nie wyda owocu — bez żelaza wytworzy kłos lichy i blady, ten bowiem nadaje mu żywą barwę zieloną i krzepkość jego łodydze—wreszcie bez manganezu owies nie dosięga nigdy zupełnego rozwoju i mało wydaje kwiatów.“ Karol Müller zaś dodaje, że wszystkie te materye zasilające, roślina czerpie wyłącznie z ziemi, z wyjątkiem niektórych nielicznych roślin, jak naprzykład mchów pozbawionych korzeni, które całe swe pożywienie czerpią z powietrza. Są to poważne opinie ludzi poświęconych z gorącem miłośnictwem rolnictwu—ludzi opierających swój pogląd na ścisłej obserwacyi i doświadczeniu, a tem samem nie zasługujących na lekceważenie.

Poczytując atmosferę za niewyczerpaną szafarkę materyj grunt zasilających, autor odrzuca wszelkie nawozy dodawane ziemi. Plon według niego będzie zawsze zadawalający, jeżeli ziemia będzie dostatecznie porowatą: to jest przepuszczającą pierwiastki mineralne pływające w powietrzu. Z tego względu autor *potępia stanowczo* pług, jako odwracający wierzchnie urodzajne skiby ziemi na spód a dolne przewracający na wierzch. Kultywator, skrobacz, i brona, spełnią według p. Boczyńskiego, lepiej to zadanie. Pojęcia te nie dowodzą bynajmniej fizyognozyi autora. W rzeczy samej, nie potrzeba być rolnikiem, by dostrzedz wadliwość tego poglądu. Wiadomo nam z fizyologii, w jaki sposób żywią się rośliny, warstwę wierzchnią gruntu dla tego lemiesz od-

---

[1]) *Meteorami* nazywamy zjawiska atmosferyczne, rosę, mgłę, deszcz, chmury, śnieg czyli tak zwane *hydrometeoryty*; grzmoty, pioruny i zorza północna, są *zjawiskami elektrycznemi meteorów*; *do meteorów optycznych* należą tęcze i słońca poboczne. *Meteoryty* zaś czyli *kamienie meteoryczne*. lub tak zwane *aerolity*, są to spadłe z powietrza masy mineralne, zawierające w sobie żelazo i inne metale.

[2]) *Rudą* nazywamy minerał, zawierający w swej głównej części składowej metale ciężkie, w połączeniu z innemi związkami—torfy nie należą do metalów, ale w nich metale znajdywać się mogą.

wraca, aby wyniszczyć chaszcze na niej rozrosłe, któreby przeszkadzały rozwojowi zasianych roślin—dolną zaś warstwę ziemi pług wydobywa na wierzch z tej przyczyny, że w skutek wietrzenia jej w powietrzu, staje się ona ziemią urodzajną, gdyż materye mineralne w niej zawarte, rozłożone zostają w przystępie powietrza i służą za posiłek roślinom. Pozostawiając na wierzchu też samą warstwę ziemi, która plon wydała, co zrobi autor z dziczyzną? Jak wygubi chwasty na niej rozrosłe? Czy w gruntach ciężkich które *bez pługa przerobić niepodobna*, wystarczy mu kultywator i brona? Czy na skale rodzić będzie mu pszenica i żyto, jakby to powinno mieć miejsce według jego teoryi nawozów atmosferycznych? Niechże spulchni sobie jak chce tę skałę, przewierci, przerobi, dla dostarczenia gruntowi jak największej ilości owych powietrznych materyj pożywnych, w rezultacie nie otrzyma nawet słomy.

O płodozmianie napisano już całe tomy, opartym jest on na procesie chemicznym wyczerpywania się gruntu, i fizyologicznym żywienia się roślin. Autor pomiata wszakże całą teoryą płodozmianu, Schweitzera, Kurowskiego, Oczapowskiego, Thaera, Liebiga i Ville'a poczytuje za półgłówków, a toż oni ułożyli cały kodeks rolniczy! Czy ten przyniósł roli pożądane korzyści, odpowie autorowi na to Belgia, Niemcy i Francya, gdzie rozwój rolnictwa głównie na płodozmiennem gospodarstwie spoczywa.

Przy kontraktowaniu dostawy buraków, p. Boczyński żąda, aby porzucono w oznaczaniu ich cukrodajności analizę chemiczną i polaryzacyę, jako metody niedołężne, a natomiast proponuje zwracanie uwagi na dobroć nasienia które *prawem dziedziczności*, wydawać będzie plon dobry, oraz na kształt buraków workowaty, marchewkowaty i rzepowaty, z których pierwszy jest najkorzystniejszym dla cukrowni. Teoretycznie biorąc, zasada to przedziwna—cóż z tego, gdy z innej strony nam wiadomo, że najlepsze nasienie wydające buraki workowate w dobrej glebie, zrodzi jak doświadczenie wskazało, buraki marchewkowate w gruncie lichym, i przeciwnie, nasienie wcale niewyborowe, wytworzy piękne buraki w gruncie dobrym. Jednem słowem grunt wpływa tu najwięcej na plony, a nie nasienie. Zasada więc autora nie jest wcale pożyteczniejszą w praktyce od polaryzacyi i analizy chemicznej, które bądź co bądź, oddały już rolnictwu ważne usługi.

Dalej powiada nam p. Boczyński, że kości pozostające w ziemi spożywane zostają przez żyjątka mikroskopowe, których zwłoki następnie gnijąc, służą za pokarm roślinie. Owóż chcąc na ten pogląd się zgodzić, potrzebaby przyjąć, *że w głębi ziemi żyją jestestwa pozbawione powietrza, tego głównego elementu życia*, co naturalnie jest niemożebnem. Z drugiej strony, gdyby kości były spożywane w ziemi przez jakoweś żyjątka, to byśmy nie mieli nawet śladu szczątków organicznych, spoczywających w ziemi od kilku milionów lat lub wieków. Tymczasem paleontologia przedstawia nam poważną seryę szkieletów zwierzęcych, od dawna w łonie ziemi przechowanych.

Z rozbioru pobieżnego teoryi autora, czytelnik widzi że nie jest ona wcale opartą na doświadczeniach, a tylko na obserwacyi teoretycznej dość względnej wartości. Od lat trzydziestu wiedza wymaga od wszelkiej hypotezy podstaw doświadczalnych, w braku których, nie ma i nie może mieć wszelka teorya żadnego znaczenia. Ten brak pozytywnych podstaw najwięcej czuć się daje w teoryi autora, i stanowi ową piętę Achillesa, w którą Parysowie krytycy i specyaliści, godzić będą, i trafne wymierzać strzały. Nie ma żadnej wątpliwości, że autor powodowany najzacniejszą chęcią przyniesienia naszemu rolnictwu nowych sił, wystąpił ze swemi poglądami, szkoda tylko, że niewielu doświadczeniami mógł je poprzeć, że za wiele ufał swym dorywczym spostrzeżeniom. Tych dobrych chęci nie należałoby krytyce pomijać, gdyż autor powodował się w swej broszurze jedynie dobrem ogółu, a w polemice jaka się nie wątpliwie w kwestyi przez niego poruszonej wywiąże, p. Boczyński szukać będzie zapewne wyświetlenia tej sprawy na drodze naukowej.

W terminologii zaznaczamy niektóre usterki: *chenopodium* nazywa autor *łobodą*, tymczasem jest to nazwa *komosu*, od której czerpnęła nazwisko cała rodzina *roślin komosowatych* (chenopodiaceae); łoboda zaś w języku botanicznym nosi nazwę *Atriplex*. Tkanka roślinna składa się z *cellulozy* czyli *błonnika*; *pektoza* jaką dorzuca autor, jest dla nas hjeroglifem. Język w broszurze autora nie wszędzie zaleca się czystością, lecz w książce naukowej poczytujemy to za drobiazg, i z tego względu nie myślimy stawiać autorowi zarzutu.

W. Niewiadomski.

Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— Profesor Marion w Marsylii, donosi o ważnem i ciekawem odkryciu, zrobionem w okolicy tego miasta w dolinie Saint-Clair pod Gemenod. Jest to grota, do której się wchodzi przez szczelinę w wapieniu jurajskim, pochodzącą z czasów przedhistorycznych. W grocie znaleziono kości ludzkie należące do dziewięciu ludzi, oraz pewną ilość obrobionych krzemieni, które w owych czasach służyły za broń i nareszcie kilka odłamków naczyń glinianych pierwotnej roboty. Część kości odesłano do muzeum paryskiego. Zebrane szczątki ludzkie wykazują wątłą budowę ciała indywiduów do których należały.

— Oryginalną walkę stoczył niedawno w Czechach pod Biskowicami pewien podleśny. Wyszedłszy w pole bez żadnej broni, ujrzał ogromnego orła rozszarpującego zająca. Chcąc wydrzeć napastnikowi ofiarę, zbliżył się do miejsca toczącej się walki, lecz orzeł na widok podchodzącego człowieka, rzucił się na niego i wpiwszy się szponami w piersi, począł dziobem bić go po głowie. Pomimo tej niespodziewanej napaści i bólu, zaczepiony nie stracił przytomności i gdy mu się udało ująć rękami za szyję ptaka, walka ustać musiała i podleśny niewypuszczając z ręki króla ptaków, zdołał przynieść go do domu. Okazało się, że ujęty w taki sposób żywcem ptak był bardzo pięknym okazem tak zwanego królewskiego orła, który mierzył szerokości, przy rozpiętych skrzydłach, więcej niż półtrzecia metra.

— Zawiązany w Filadelfii komitet kobiet, z powodu obchodu stuletniej rocznicy niepodległości stanów i wystawy filadelfijskiej, chce na wystawie pomieścić o ile można kompletny obraz działalności kobiet całego świata na polu filantropii i dobroczyności. W tym celu odnosi się z prośbą o nadsyłanie pod adresem Mrs. H. Smith, 1516, Pine Street, Philadelfia, sprawozdań o działalności kobiet w szpitalach, ochronach, przytułkach, żłobkach, szkółkach, wraz z fotografiami lub litografiami tych zakładów o ile to być może, oraz krótki opis historyczny tych zakładów, z uwzględnieniem wpływu kobiet na ich rozwój oraz kilka lub przynajmniej jednoroczne sprawozdanie.

— W dniu 17 stycznia r. b. otwarte zostało w Wilnie towarzystwo wystawy nieustającej utworów sztuk pięknych. Towarzystwo pomienione liczy już 93 członków rzeczywistych i 76 członków miłośników.

— Badania archeologiczne w grotach ojcowskich przez p. Jana Zawiszę wykonane, zwróciły uwagę uczonych niemieckich. Jednocześnie znajdujemy opisy dobytych na jaw wykopalisk w dwóch naukowych czasopismach: „Ausland" i „Globus." Dokładną relacyę wraz z rycinami tych wykopalisk podaje „Globus." Prócz wzmianki o poszukiwaniach p. Z. podaje także „Ausland" wiadomość o obszernej jaskini położonej o $2^1/_2$ mil na południowschód od Olkusza, w której znaleziono bardzo znaczną ilość kości niedźwiedzia jaskiniowego, oprócz kości i czaszek innych zwierząt.

Дозволено Цензурою. Варшава 18 Февраля (1 Марта) 1876 г. W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy)

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor Henryk Perzyński.